

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Rs. 7 kop. —
 Półrocznie .. „ 3 „ 50
 Kwartalnie .. „ 1 „ 75
 Miesięcznie .. „ — „ 60

Za odnośnienie do domu
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
 meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincji
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
 Półrocznie . . . „ 4 „ 50
 Kwartalnie .. „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld.—18 m.
 Półrocznie. 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
 tor Redakcji po kop. 10 za
 wiersz petitowy lub za je-
 go miejsce. Reklamy po
 kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
 WARECKA Nr. 9.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
 zeszyt dzieł Spencera.

WYŚC: I. Głód w Irlandyi, przez J. L. P.—II. Brentano o stosunkach angielskich, przez J. Książca. — III. Czem jest Izrael?, przez W. Ziemińskiego.—IV. Naturalizm w tea-
 trze niemieckim, przez W. Rabskiego. — V. Głosy.—VI. Z kraju, przez J. Nieborskiego.—VII. Korespondencyja: z Łodzi, przez Pracownika. — Z Mińska gub., przez St. Wiśnię.—
 VIII. Przegląd społeczny.—IX. Przegląd polityczny.—X. Kronika literacka.—XI. Kronika powszechna.—XII. Odpowiedzi od redakcyi. — XIII. Ogłoszenia. — XIV. Odcinek
 Wysadzony z siodła, przez A. Sygietyńskiego. (Ciąg dalszy).

Głód w Irlandyi.

W ostatnich kilku latach złagodniał nieco ostry charakter stosunku irlandczyków do Anglii. Rząd brytański, odmawiając Irlandyi samorządu parlamentarnego, przedsięwziął jednak cały szereg reform ekonomicznych, mających na celu ułatwienie farmerom nabywania gruntów. Jakkolwiek przy dokonaniu tej reformy miano jednocześnie na widoku i interes landlordów, którzy chętnie pozbywali się ziemi, nie dającej im odpowiedniego dochodu, ale farmerzy irlandzcy korzystali również z dogodnych warunków pożyczek i coraz większe obszary gruntów zajmowali. Nowo-nabywcy płacili akuratnie raty, co przyznał nawet rząd angielski. Kupowali zwykle farmerzy drobne działki, od 1 do 15, 20 akrów obszaru, zaledwie zabezpieczające od głodu, ale nie dające możliwości dojścia do dobrobytu. Publicyści irlandzcy, a nawet niektórzy Anglicy z obozu liberalnego słusznie twierdzili, że takie połowiczne środki nie na wiele się zdadzą, że jedynym rozwiązaniem sprawy agrarnej w Irlandyi jest wykup przymusowy przez rząd gruntów i oddanie ich farmerom na warunkach dogodnych spłaty, czyli, po prostu, uwłaszczenie farmerów. Rząd torysów nie spieszył się jednak z reformą radykalniejszą, dotychczasowe bowiem środki, odejmując stosunkom agrarnym zbyt ostry charakter, zapewniały względny spokój, a to wystarczało Anglikom. Walka irlandczyków z rządem miała w ostatnich czasach przeważnie barwę polityczną.

Ale oto zbieg pewnych wpływów meteorologicznych, który spowodował zarazę i, co zatem idzie, nieurodzaj kartofli odrazu zmieniła stosunki i niweczy nadzieje polityków angielskich.

Następstwem nieurodzaju będzie głód, nie ten głód, jaki stale trapi ludność irlandzką nawet w latach urodzajnych, ale ten, który wali trupem tysiące ludzi, a dziesiątki tysięcy wypycha za morze. O wypłatności farmerów, którzy nabyli grunta, mowy być nie może.

O stosunkach irlandzkich dają dokładne po-

jęcie cyfry, zebrane przez statystyków angielskich (biuro departamentu rolnictwa).

Cały obszar Irlandyi wynosi 20,328,000 akrów, z tego grunta orne i łąki zajmują zaledwie 5,056,016 akrów, tj. 25% całej przestrzeni, pastwiska—9,998,297, lasy i sady — 326,636, wody i nieużytki—4,935,354. W ciągu jednego roku obszar gruntów ornych zmniejszył się o 84,667 akrów, zaś obszar pastwisk zwiększył się o 93,200 akrów. Landlordowie irlandzcy stale dążą do zamiany gruntów ornych na pastwiska, bo chociaż to nie daje im większego dochodu, ale uwalnia od zatargów z dzierżawcami. Niektórzy znowu umyślnie zapuszczają pola, ażeby urządzać polowania—są bowiem dosyć bogaci, ażeby pozwolić sobie na ten zbytek. Cóż ich to obchodzi, że ludność irlandzka mrze z głodu lub ucieka z kraju, bo brak jej ziemi pod kartofle i jęczmień, którym przeważnie się żywi.

W ubiegłym roku liczono w Irlandyi 565,975 właścicieli gruntów, więcej o 3,333 aniżeli w roku ubiegłym. Ten dosyć znaczny przybytek jest rezultatem reform agrarnych, podjętych przez rząd angielski. Ale rozejrzawszy się dokładniej w cyfrach, widzimy, że przybyło 3,717 właścicieli, posiadających mniej, niż 15 akrów gruntu, w tej liczbie 1,978 takich, którzy mają mniej niż 1 akr ziemi, tj. nędzarzy chałupników. Z całej liczby właścicieli irlandzkich 49,929 ma mniej, niż 1 akr ziemi, a 61,590 od 1 do 5 akrów, wreszcie 156,561 od 5 do 15 akrów. Rachując, że tylko 1/3 właścicieli tej ostatniej kategorii ma mniej niż 10 akrów gruntu, otrzymamy 162,000, tj. około 30%, nie posiadających dostatecznej dla jakiego takiego utrzymania rodziny ilości gruntów.

Cyfra większych właścicieli, posiadających od 200 do 500 i wyżej 500 akrów zmniejszyła się o 29 osób, natomiast ubyło 576 właścicieli średnich, od 15 do 50 akrów. Dzisiejsza więc reforma agrarna płodzi tylko właścicieli nędzarzy, nie zdolnych do samodzielnego gospodarowania. Inaczej być nie może, bo dzierżawcy irlandzcy zbyt są ubodzy, ażeby mogli dawać większe zaliczki na kupno gruntów, nawet chociażby resztę szacunku pokrywała pożyczka rządowa.

Trudno zresztą powiedzieć, czy wzrosła lic-

ba właścicieli, bo cyfra 565,975 oznacza właściwie ilość odrębnych posiadłości, które należały do 516,046 osób.

We wszystkich prawie krajach Europy, tam nawet, gdzie zmniejsza się obszar ogólny gruntów włościańskich, wzrasta liczba właścicieli. W Irlandyi spostrzegamy objaw przeciwny. W r. 1841 było tam 691,202 posiadaczy, w r. 1851 po latach strasznego nieurodzaju i wzmożonej emigracji, już tylko 570,338, w r. 1861—568,484, w 1871—544,142, w 1881—526,743, wreszcie w 1889—516,046.

Stosownie do ogólnej liczby mieszkańców ilość właścicieli gruntów wydaje się dosyć znaczną, stanowi bowiem prawie 10%, tj. tyle, ile u nas w Królestwie. Ale trzeba dodać, że blisko połowa, bo 268,080 działów nie dochodzi nawet 10 morgów naszej miary i że te setki tysięcy zagrodników i setki tysięcy zupełnego proletaryjatu rolnego nie mają żadnego prawie zarobku, bo zaledwie czwarta część ziemi znajduje się w uprawie, a na tej ziemi siedzą jeszcze masy dzierżawców. Przemysł w Irlandyi, z wyjątkiem północnej części kraju, prawie nie istnieje, nie ma też tam wcale zarobków dodatkowych.

Drobne półśrodki, jak np. pożyczki amortyzacyjne nie mogą wpłynąć na zmianę tych opłakanych stosunków. Nawet organy zachowawcze twierdzą, że rząd musi chwycić się radykalniejszych środków. Tegoroczny nieurodzaj kartofli, wraz z nieuniknionymi następstwami jego, konieczność tę bardziej jeszcze uwydatni, głód zaostrzy znowu charakter agrarny wystąpień irlandzkich. Czy jednak gabinet Salisbury'ego zdobędzie się na krok stanowczy — to wielkie pytanie. Prawdopodobniej znowu podejmie rozmaite półśrodki, zaś w razie zaburzeń, wywołanych przez głód, użyje represyi. Zwykła to taktyka rządu angielskiego, ale ostatnie czasy wykazały, że taktyka zawodna. Odstąpiła od niej stanowczo za sprawą Gladstone'a partya liberalna i jeżeli zachowawcy nie odstąpią, to zmuszeni będą niewątpliwie, pomimo błyskotliwych powodzeń w polityce zagranicznej—do oddania przeciwnikom steru rządu.

J. L. P.

BRENTANO

o stosunkach angielskich.

(Dokończenie).

Podróż Brentana do Anglii spowodowana była chęcią sprawdzenia tych pogłosek, jakie rozsięwały o Anglii dzienniki niemieckie. Według tych ostatnich dawne trades-uniony bankrutowały, socjalizm rewolucyjny gwałtownie szerzył się wśród wyrobników i opanowywał zakładane przez nich związki. Jeżeli tak było istotnie, powiada nam autor, miałyby to ogromną doniosłość nie tylko dla Anglii, ale i dla rozwoju kwestyi robotniczej w całym świecie. Ustrój polityczny angielski daje możliwość robotnikom przeprowadzenia swej woli, jeżeli zdobędą większość. Jeżeli więc robotnicy angielscy stali się socjalistycznymi radykałami, to niebawem nastąpiłby albo upadek konstytucyi, lub też okazała próba założenia państwa socjalistycznego. Zarówno pierwsza, jak druga alternatywa nie pozostałaby bez ogromnego wpływu na cały świat ucywilizowany.

Pobyt w Anglii przekonał autora, że pogłoski te są w znacznej części fałszywe. Dawne trades-uniony zajmują wybitne stanowisko w społeczeństwie, zastój przemysłowy, panujący od roku 1873, wyczerpał był wprawdzie ich środki, ale nowe ożywienie, datujące się od roku zeszłego, znacznie poprawiło już ich położenie finansowe.

Co się tyczy socjalizmu, to szerzy się on wśród inteligencji przeważnie, bardzo nieznacznie zaś wśród robotników. Zapewniał o tem autora przeciwnik socjalizmu, Harison, który oddał jednak swe pióro na usługi nowych związków. Duchowni londyńscy z Ost End, jakkolwiek sami socjaliści, przyznawali, że niewielka tylko liczba socjalistów znajduje się wśród robotników wschodniego Londynu i w New-Castle'u. Potwierdzał toż samo H. Champion, który, jakkolwiek sprzeciwia się upaństwowieniu całej produkcji, mieni się zresztą żarliwym marksistą. Tenże oświadczył nadto, że Tom Mann, radykalny przywódca związku dokowców, jakkolwiek podziela ideje socjalistyczne, jednakże skłania się ku polityce dawnych trades-unionów i że masy robotnicze nie mają na celu nic innego nad bezpośrednie korzyści.

W innym świetle wszakże przedstawiają się plany przywódców nowego ruchu w rozmowie, jaką toczył autor z „rozsądnym, energicznym i nadzwyczaj sympatycznym” Burns'em. Brentano rozpytywał tego ostatniego, w jaki sposób postąpi on w razie obniżenia się płacy zarobkowej. Dawne trades-uniony, złożone z wykwalifikowanych robotników, dobijają się podwyższenia płacy głównie dzięki trudności, jaką spotykają przedsiębiorcy w zastąpieniu strejkujących. W czasie zastoju przemysłowego, gdy zapotrzebowanie pracy się zmniejsza, trades-uniony wycofują z rynku pewną ilość robotników, wypłacają im pensje i w ten sposób nie dopuszczają obniżenia cen. Związki wyrobnicze w innym są położeniu: na miejsce każdego usuwającego się od pracy przedsiębiorca znaleźć może dziesięciu zastępców. Burns odpowiedział na to w ten sposób, że do związku przyjmuje się taka tylko liczba wyrobników, jaka znajduje zajęcie w przedsiębiorstwie, od przedsiębiorców zaś za pomocą presyi opinii publicznej domaga się, żeby nie przyjmowali oni wyrobników, do związku nie należących. „Dla związku dokowców londyńskich, dodał on, określiliśmy już cyfrę, po za którą zaniechamy przyjmowania nowych członków”.

Brentano zarzucił wówczas swemu interlokutorowi, że związki wyrobnicze przewyższyłyby dawne trades-uniony pod względem wyłączności, za którą jednak tak je potępiano i że przypominałoby to korporacje niemieckie z XVII wieku, które przeobraziły się w końcu w korporacje zamknięte. Burns, zgadzając się ze słusnością niektórych zarzutów, odrzekł, że przywódcy usiłują odroczyć krytyczną chwilę zamknięcia związków za pomocą zmniejszenia dnia roboczego i wprowadzenia podwójnych oddziałów. Co się zaś tyczy tych, co pozostaną po za związkami, dla tych, dodał on, załadamy roboty od zarządu miasta.

W dalszym ciągu Burns rozwinął plan, przedstawiony przez towarzystwo fabrykańskie w *Essays in socialism*, a polegający na tem, że municypalności stopniowo wykupią przedsiębiorstwa prywatne, zbierając potrzebne na ten cel fundusze z opodatkowania renty. Brentano nie nadaje wielkiego znaczenia tym planom, ponieważ sądzi, że nietylko obecnie niema wcale przedsiębiorstw, które bez szkody dla wytwórczości możnaby było zmunicypalizować, ale że nawet w przyszłości niewiele takich przedsiębiorstw się znajdzie.

Radykalny program Burnsa ogromnie się nie podoba dawnym trades-unionom, napadają też one nań nader gwałtownie. Jeden z przywódców trades-unionistów w Manchesterze mówił autorowi: „Sprzeciwiamy się najzupełniej przesadzonym planom *municypalizowania i upaństwowiania*. Jesteśmy za własnością osobistą. Nasze związki mają ogromne posiadłości, wykształceni ich członkowie, dzięki wysokim zarobkom, które pomogliśmy im osiągnąć, stali się właścicielami domów—za pomocą stowarzyszeń budowlanych i współwłaścicielami fabryk—za pomocą towarzystw akcyjnych i współdzielczych. Ani nasze związki, ani nasi członkowie nie życzą żadnej zmiany pod tym względem i gotowiśmy z orężem w ręku waleczyć za zachowanie dzisiejszej organizacji społecznej, jeżeli ci tam (tu dodał niezbyt grzeczny epitet) zechcieliby ją napastować”. Tak przemawiał, powiada z naciskiem Brentano, przedstawiciel związków, które przed 40 laty uciekały się w walce do wityriolu i zabójstwa, uważane były za największe niebezpieczeństwo dla państwa, dziś zaś stały się potężnym sztańcem istniejącego ustroju.

Dawne trades-uniony przypisują radykalne plany nowych związków temu, że zaniebowały dotąd wyrobników, spostrzega się też wśród trades-unionów dążność do poprawy swego błędu. Z drugiej strony nowe związki chciałyby też działać solidarnie z dawnymi, sądzą bowiem, że rozdwojenie dwóch warstw robotniczych może być tylko szkodliwym dla stron obu. Nie idzie zatem jednakże, żeby polityka dawnych związków i nowych była jednakową. Robotnicy wykwalifikowani pozostaną zawsze większymi zwolennikami samopomocy, gdyż wystarcza im ona, niewykwalifikowani zaś, których organizacja zawsze będzie słabszą, zwracać się muszą o pomoc do państwa. Ponieważ prawodawstwo angielskie, powiada Brentano, odznacza się indywidualnością, można więc przypuścić, że wydane będą specjalne prawa ochronne dla wyrobników, nie dotyczące wcale robotników wykwalifikowanych.

Brentano odniósł wogóle wrażenie uspokajające. „Pokój społeczny” w Anglii, zdaniem jego, zakłócony nie będzie. Nawet Burns uspokoił go w końcu zapewnieniem, że nie wie, czy będą kiedy upaństwowione *wszystkie* środki produkcji; że wszystko zależeć tu będzie od rozwoju, na który on przecież wpłynąć nie może i że, wreszcie, chodzi mu w tej chwili przede-

18)

WYSADZONY Z SIODŁA.

Powieść.

PRZEZ

Antoniego Sygietyńskiego.

(Dalszy ciąg).

W tej chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł subjekt z handlu ze słowami:

— Pana Hebalskiego proszą do telefonu.

— Idę, idę—odpowiedział Hebalski z głębi, i, po chwili, nucąc inną aryję z *Nitouche*, wyszedł na korytarz.

— Pewnie z redakcyi ktoś telefonuje....

— Och! bez niego nikt nie umie sobie dać rady z tą maszyną....

— *Ma foi!*.... Ten chłopiec ma głowę!

— A mnie się zdaje, że jest to tylko zwyczajny głupiec, któremu udało się obałamucić kilku ludzi bez mózgow—rzekł Kulirowski, ogryzając z chrzęstem udko od kuropatwy.

— Dlaczego go nie wysadzicie? — spytała Maryja.

— Społeczeństwo lubi banalność, spowita w głupią formę: to mu tylko smakuje, bo lekko strawne.

— Przyznam się ze wstydem — mówił prezes — że ja sam nie lubię czytać uczonych

wywodów w pismach codziennych: to mnie nuży.

— Wierzę!

— Może jeszcze kieliszeczek czerwonego?

— Wyborne wino!

— Trochę za mocne!

— A trament!...

— To jego, *e-te*, charakter, cecha znamienna, właściwość....

— Co mi tam!.... Chcę wina, któreby mi smakowało i od którego łatwo upić się można—wołała z pewną już fantazyją Maryja.

— Może węgierskiego?

— Owszem: może być nawet pół-wytrawne.... Szlachcka krew przecież we mnie płynie.

— W Mieńczykównie?—spytała z przekąsem Żądłowska.

— A cóż pani myśli?

— Jak żyję, nie słyszałam o takiej szlachcieli..

— A słyszała pani o *Odmieńczykach*?

— Także nie.

— To mój herb!

— Więc czem-że się pani pieczętuje?

— Winszuję zapytania!... Językiem, za pozwoleniem pani, bo tylko klejone koperty są teraz w użyciu.

Szczęściem dla dysputujących pań, drzwi się otworzyły z hałasem i do gabinetu wszedł Hebalski.

Wszystkich oczy zwróciły się na niego, lecz on nie patrząc na nikogo, przeszedł tylko przez

gabinet do sąsiedniego pokoiku, i, jak lunatyk, mówił do siebie głośno, z odcieniem tajemniczości.

— Ważna wiadomość, bardzo ważna wiadomość....

— Co takiego?

— Co takiego?

— Co się stało?

— Nic, nic.... Później.... Jak skończę *Nitouche!*

— Tylko prędko, panie Tadeuszu, zmiłuj się, bo się nudzimy bez ciebie—wołała Maryja za odchodzącym.

— Ale co się jednak stało?

— Pewnie coś z polityki....

— Może Bismarck?....

— Przecież to godzina zagranicznych depesz nocnych....

— To godzina — szepnął tajemniczo Kulirowski—zwykłych „hebaljad”, czyli błaznowania na zimno!....

— Eel!... czyżby?

— A proszę mi zostawić jarzabka i kawałek kuropatwy—wołał Hebalski z głębi.

— Garson!

— Słucham pana *mecenas!*

— Odnieś półmisek i powiedz kucharzowi aby pottrzymał wszystko pod blachą.

— Garson!—zawołał Hebalski.

— Uważam, jaśnie panie!

— Tylko powiedz, że to dla mnie.... Dla pana Tadeusza.... Niech nie spali!

wszystkiem o dopomożenie tym nieszczęśliwym *unskilled*. Najlepsze wrażenie sprawiły na Bren tano słowa innego przywódcy „skrajnej lewicy” Championa: „Zrobię dla robotników, powiedział on, wszystko, co będę mógł, by podnieść ich po nad poziom obecny, ale pod jednym warunkiem, że nigdy nie powstaną oni przeciwko naszej konstytucji. Daje im ona możność osiągnięcia wszystkiego pod warunkiem, że przekonają większość o słuszności swego żądania. Jeżeliby jednak tej większości zechciała zadać gwałt mniejszość, zmiażdżyłbym ją, jak się wyraził wasz cesarz. Te jego słowa podobały mi się. Zrobiłbym wszystko dla robotników, ale jeżeli usiłowałiby oni użyć gwałtu przeciw ustanowionemu porządkowi, zmiażdżyłbym ich“....

J. Kniaźyc.

CZEM JEST IZRAEL?

Szkic historyczno-społeczny.

SKRĘŚLIE

Witold Ziemiński.

IV.

Po strasznym wybuchu fanatyzmu sekciarskiego i klęsk, które pociągnął za sobą — musiał nastąpić okres wyczerpania. Klęska, świeżo przeżyta, była tak straszną, upadek tak okropnym, że przerażenie i zwątpienie musiało ogarnąć tych, którzy owe czasy przeżyli. Izrael, zdziesiątkowany i pogrążony w strasznym ubóstwie, tysiącem mil od swej ojczyzny oddzielony, rozproszony między ludy, nieznane, groźne swą młodzięcą, barbarzyńską siłą — jakkolwiek wiernym pozostał swej wierze, to jednak widział się zmuszonym głęboko ukryć w sobie swą nienawiść i zabobrze dążeń.

To też widzimy, że w krajach celto-germańskich znajdują nieszczęśliwi synowie Jakuba gościnność i życzliwe przyjęcie. Ich potulność i trwożliwość, ubóstwo i cichy sposób życia wzbudzają w ludności miejscowej współczucie, jakie zwykle odczuwa istota, pełna siły i energii, w obec istoty słabej i upośledzonej.

W Hiszpanii znajdują żydzi opiekę, zarówno u królów chrześcijańskich, jako też u kalifów. W Galii Merowinów i Karolingów, znajdują

nawet pośród miejscowej ludności prozelitów. Przynajmniej często w owym czasie miały miejsce małżeństwa mieszane, czemu nie śmieli opierać się rabini, z obawy wywołania niechęci i prześladowań ze strony ludności miejscowej.

Niektórzy uczeni przypuszczają, że w tym właśnie okresie powstała wskutek krzyżowania odmiana żydów niemieckich, odznaczająca się jaśniejszą cerą i nierzadko jasnymi oczami i włosami.

Większość żydów europejskich należy do tej odmiany, zwanej „Aszkenazi”. Różnią się od niej żydzi południowi, ciemnowłosi, zwani hiszpańskimi żydami, lub „Sefardim” i żydzi litewsko-ruscy, którzy są mieszaniną aszkenazów z karaitami, jak wiadomo, mającymi w swych żyłach znaczną domieszkę krwi turecko-tatarskiej.

Aż do XIII wieku jestcami świadkami ciągłego i niczem nie kępowanego rozwoju gmin żydowskich. W Kordubie posiadają równe z muzułmanami prawa, zajmują wszystkie stanowiska, służą wojskowo; nie gorszym jest los ich w królestwach Kastylii i Aragonii; we Francji, szczególnie w Prowancji i Langwedocji, posiadają znaczną własność nieruchomą w domach i gruntach, przy dworach panujących piastują godności podskarbie i lekarzy. Swój coraz rosnący dobrobyt zawdzięczali żydzi głównie, podobnie jak w Egipcie, obrotom finansowym, a zwłaszcza lichwie, która, według pojęć chrześcijańskich, oznaczała, jak wiadomo, wszelkie pożyczanie pieniędzy na procent i karana była pozbawieniem posług religijnych i wykluczeniem z grona wiernych.

Wogóle ten okres wieków średnich przypomina dla żydów epokę ich pobytu w Egipcie; zarówno w życiu praktycznym, jak i w sferze umysłowej separatyzm i nieufność zdają się słabnąć.

Hiszpańscy żydzi wydają w owym czasie poetów, gramatyków i egzegretów, filozofów, jak Salomona ben Gebirol (Avicebron), żyjący w 1020—1070 roku, wreszcie filar filozofii scholastycznej, Mojżesza ben Maimun (Majmonidesa) żyjącego od roku 1135—1204. Żydzi z Prowancji, Mojżesz z Narbony i Lewi ben Gerszon czynią próby do skierowania judaizmu na grunt naturalistyczny.

Podobne zjawisko widzimy u żydów Wschodu. Zjawia się sekta Karaitów, pod wodzą Anana ben Dawida (734) usiłująca wskrzesić tradycję saducejską i oprzeć się na samej biblii. Popie-

rana przez Arabów, sekta owa zagraża poważnie prawowierności Rabbanistów, przywiązanych do Hagady i Talmudu.

Popełnilibyśmy wszelako błąd, przywiązując do owego ruchu umysłowego znaczenie zbyt wielkie.

Podobnie, jak za czasów Filona, prace naukowe żydów cechuje zupełny brak oryginalności. Wszyscy oni powtarzają jedynie myśli pisarzy arabskich, Alkendięgo, Alfarabiego, Avicenny i Averroesa, którzy ze swej strony czerpią swą mądrość od greków. Widzimy nadto, że wszyscy ci mędrce, z Saadią i Majmonidesem na czele, są w ciągłej zawisłości od teologii. Majmonides mianowicie nie posiada na tyle filozoficznego umysłu, aby nie sprzeniewierzyć się Arystotelesowi, ilekroć ten mędrzec nie okazuje się zgodnym z zakonem Mojżesza i religią żydowską; pracuje on przytem nad uporządkowaniem talmudu i jest twórcą 13-tu zasad wiary, które przyjęła następnie Synagoga.

Podobnie i Karaici, zerwawszy z faryzeizmem, niebawem dochodzą do jeszcze większego pod wieloma względami obostrzenia rygoryzmu moźeszowego.

„Wszelako, powiada uczoney, z którego ten ustęp przytaczamy, należy uważać i to za postęp znaczny i objaw pocieszający, że wyznawcy najzawziętszej i najwyłączniejszej ze wszystkich religij — zdobywają się na jakiegokolwiek stosunki z nauką grecką”.

Jeżeli przekroczyliśmy teraz kilka stuleci, oczom naszym przedstawi się zgoła odmienny widok.

Na miejsce dawnej życzliwości ludów zachodu względem żydów — widzimy nienawiść i pogardę.

Wraz z tem gaśnie ruch umysłowy, jeszcze jakiś czas przez gminę prowancją podsycający i następuje cisza w dziedzinie umysłowej, którą przerywają jedynie w XVI wieku badania świętych tekstów, przedsiębrane przez żydów włoskich i powstałe w wieku XVII, lecz w niezgodzie z synagogą: „Traktat teologiczno-polityczny i Etyka” Barucha Spinozy. Aż do wieku XIX widzimy żydów całej Europy oddanych wyłącznie Kabale i faryzejskim praktykom.

Przyczynę tego upadku umysłowego przywykliśmy widzieć w prześladowaniach, jakich żydzi stali się ofiarą, poczynawszy od XI wieku.

Wiemy bowiem, że w 1096 roku, ciągnący na wojnę świętą krzyżowcy tępią żydów w Nad-

— A jednak on pamięta o swoim żołądku, choć mówił mi, że pisze tylko wtenczas, kiedy jest w natchnieniu — rzekła z cicha Maryja.

Garson wyszedł z półmiskiem. Towarzystwo tymczasem kończyło kieliszki czerwonego wina wesoło.

Po chwili weszło dwóch lokajów: jeden sprzątał talerze, drugi ustawiał świeże. Czynność ta odbywała się szybko, choć z hałasem. W trakcie tego jeden z lokajów nachylił się nieznacznie do ucha Cieżyńskiego i rzekł cichym, ledwie dosłyszalnym, szeptem:

— Pan Feliks się pyta, czy wódka i butelka wina, którą pan Hebalski kazał sobie podać w bufecie, idzie na rachunek pana *mecenasa*?

Cieżyński pociągnął się za bokobrod, przechylił głowę na bok i odpowiedział wahająco:

— No, tak... Albo wiesz co — podchwycił odrazu — zapytaj się pana Hebalskiego: gotów się jeszcze obrazić na mnie!

— Słucham pana *mecenasa* — odrzekł cichutko lokaj i nieznacznie przeszedł do małego gabinetu. Rozmowa trwała chwilę, na końcu której słyhać było energiczne: „głupis” Hebalskiego, poczem lokaj powrócił najspokojniej do sprzątnięcia talerzy i kieliszków ze stołu.

Kobiety, jako bardziej, patologiczniej nerwowe i mniej wykształcone w smaku, nie czekając na podanie właściwego deseru, brały z patery owoce, gruszki, czy jabłka. *Crotka*, której pośpiech w jedzeniu nie miał gra-

nic, po jakimś jabłuszku tyrolskim wzięta jeszcze mandarynkę, i, ponieważ nie było talerzyków na stole, rzucała kawałki skóry na posadzkę, pod piec, a napawając się głośno, prawie z jękiem, ostrą wonią owocu, polykała ćwiartkę po ćwiartce z żarłocznością zgłodniałej małpy.

— *Nitouche!* śliczności — wołał Hebalski, stając nagle w drzwiach na progu pomiędzy gabinetami — jeszcze tylko ostatnią strofkę arii: *La, la, lalala — La, la, lalala*.... Więcej mam pamięci do nut, niż do słów! Słowo honoru!... Urodziłem się muzykiem, a zostałem literatem!... Tylko ostatnie słowa, bo chcę być ścisłym!

I Maryja, nucąc, zaczęła dyktować piosnkę o „Jasiu i Kasi”, którzy z jarmarku wracali do domu w nocy przez las:

W ręku zbója, jak wrzecziono,
W kółko lata biedny Jasio;
Drugi zbój, grzeczniejszy pono,
Nie mniej źle się obszedł z Kasią,
Zgniół jej strój od a do zet,
Farilon — Farila — Farilet!
Po mnie już! to słowa Jasia,
Po mnie już! odrzekła Kasia
Larive — Larivet!

— Zachwycająca arija! Zachwycająca *Nitouche!*... Pończoszki różowe, nieprawda? — przerwał Hebalski.

— Różowe, *charmant*s — odpowiedział Gurbalecki.

— Czy pana się pytają — ofuknęła Maryja.

— Ach! Gdybym mógł — wołał z uniesieniem Hebalski — jeszcze raz widzieć te pończoszki... dla koloru, dla koloru tylko... i ten boski ruch ze spódniczką!...

— Nic łatwiejszego — odpowiedziała Maryja, i, odwróciwszy się z krzesłem w stronę gabinetu, podgarnęła suknię wraz ze spódnicami prawie do kolana.

— *Charmant* — wołał Gurbalecki, przechylając się w tył — *charmant!*

— Nie panu przecież pokazuję!

— *Que vous êtes méchante ce soir!*

— Przeliczny kolor, prześliczny!... Różowocielisty, cielisto-różowy!... Ach! gdyby jeszcze ten ruch!... Tak tylko dla plastyki, dla odświeżenia pamięci krytyka — mówił ze słodką lubieżnością eunucha Hebalski.

Maryja z całą naturalną swobodą aktorki wstała odrazu z krzesła, i dokończyła półgłosem arii:

Przerażony i zbolały
Z Kasią do dom wraca Jasio;
Ale na cóż łyzy się zdały,
Więc rozmawiać zaczął z Kasią:
„Pójdiesz kiedy w las ten het?
Farilon — Farila — Farilet!
Ja za żadne skarby, Kasiu!
A ja chętnie, mój ty Jasiu!
Larive — Larivet!”

I na końcu, przy ostatnich słowach zwrotki, ugiąwszy się prawie do kolan, zaczęła giestykować nogami, mizdrząc się z wielkim wdziękiem do swoich łydek.

reńskich prowincjach. W roku 1116 papież Eugenjusz, w przeddzień drugiego krzyżowego pochodu zwalnia biorących w nim udział od obowiązku płacenia długów żydowskich. W tym samym prawie czasie słyszymy o rzezi żydów w południowych Niemczech. W Anglii w końcu wieku XII pospólstwo rzuca się na dzielnice żydowskie.

We Francji, gdzie liczyli do półtora miliona głów, posiadali rozległe przywileje i wielkie bogactwa, od czasu Filipa Augusta zaczynają być okładani przez królów kontrybucyjami, wypędzani i napowrót wpuszczani, nienawidzeni i prześladowani przez naród, aż wreszcie ostatecznie wypędzeni z granic Francji w roku 1394.

Podobnie niekorzystny dla żydów zwrot spotrzegamy w krajach muzułmańskich. Tak np. w Hiszpanii w końcu XII wieku sułtanowie Almohadzci dają im do wyboru: przyjęcie Islamu, lub opuszczenie Andaluzji.

Nie pozostali za arabami w tyle królowie Kastylii i Aragonii, wydając przepisy, kępujące swobodę żydów, podczas, gdy lud rzuca się na nich w 1391 roku. Widzimy następnie żydów, podlegających prześladowaniom Inkwizycji, póki wreszcie Ferdynand i Izabella w 1492-gim roku ostatecznie nie nakazują wypędzenia z granic państwa wszystkich żydów, którzy nie wyrzekną się swej wiary. Za przykładem Hiszpanii poszła w lat kilka Portugalija, zarządzając w 1496 roku ogólną żydów bannicję.

Podobne postępy robinetolerancja w Niemczech.

Widzimy, że w kraju tym w końcu wieku XV znikły prawie doszczętnie liczne niegdys gminy żydowskie, tak, że wreszcie znikają żydzi z krajów zachodu, szukając schronienia w Turcyi, w rzecpospolitych włoskich, które wszakże w XVI wieku skazują Talmud nad spalanie, szczególnie zaś licznie napływają do Holandyi i Polski.

Naturalnie, że wielu historyków, zwłaszcza pochodzenia żydowskiego — przyczyny prześladowań i wypędzeń żydów dopatrują w katolickim fanatyzmie i ościwości mas.

Należało by wszakże rozejrzeć się, czy oprócz tych czynników nie grały jakiej roli czynniki inne, w samej sekcie izraelskiej tkwiące.

Nie zapominajmy przedewszystkiem, że gorliwość religijna ludów europejskich nie mniejszą była wcale przed wiekiem XI-tym, co jednako-

woż nie przeszkadzało żydom prowadzić spokojnego i szczęśliwego żywota.

Również nie powinniśmy usuwać z pod uwagi, że prześladowania dotyczą żydów nie tylko wyłącznie ze strony ludów i rządów chrześcijańskich — nie są one mniejsze w krajach muzułmańskich, od Sewilli aż do Bagdadu.

Rozpatrzenie się w ruchu umysłowym i religijnym żydów z epoki, poprzedzającej prześladowanie, rzuci może pewne światło na główną klęskę ich przyczynę.

Zacznijmy od ojczyzny sekty — Chaldei. Żydzi chaldejscy, pod kalifami babilońskimi cieszyli się szerokim samorządem, pod władzą niemal udzielonych książąt „Exilarchów” wywodzących się z rodu Dawida. Otóż, historyja Exilarchatu jest jedną, nieustanną i zażartą walką owych świeckich władców z „Gaonami” naczelnikami duchowymi, kierownikami szkół Sury i Pumbedity. Z inicjatywy członka rodu książęcego powstała sekta karaicka, nie zyskała gruntu w Babilonie i skończyło się podobnie, jak walka Periszutu z Haszmonidami, tryumfem rabinistycznego klerykaizmu. W X-tym wieku Exilarchat istnieć przestał.

Z Mezopotamii ruch klerykaizny przenosi się do Hiszpanii. Żydzi kordubscy, przy całej swej zamożności i przywilejach, mieli w oczach swych azyjatyckich współbraci brak wielki: nie byli świadomi pięknych wyników studyjów babilońskich. Tą mądrością uszczęśliwił żydów europejskich — uważali za swój obowiązek wychowywać szkoły Sura i w tym celu w końcu X-go wieku zakładają filiję w Kordubie.

Widzimy dziwne zaiste zjawisko! Wykształceni na greckich wzorach, opływający w dostatki i dostojęstwa, żydzi hiszpańscy niezwłocznie poddają się wpływowi rabinów. Potężny rabinizm ogarnia i organizuje wszystkie izraelskie gminy półwyspu. Nauka grecka zostaje wyklęta, sam Majmonides uznany za heretyka.

W celu zwalczania herezyi, synod w Barcelonie w roku 1305 rzuca „herem” (kłątwę) na każdego, kto przed 25 rokiem życia poważy się przeczytać książkę obcą, choćby po hebrajsku pisaną; kto pismo komentować ośmieli się — skazanym jest na męki piekielne po śmierci, wykluczenie z grona Izraela za życia, dzieła zaś jego na stos.

Zwrócimy tutaj uwagę czytelnika, że represalia przeciw żydom w Hiszpanii rozpoczęły się dopiero w końcu XIV wieku.

Z Hiszpanii rabinizm zalewa Prowancyją, gdzie okazuje taką zawziętość, że Szymon z Montpellier zwraca się do Inkwizycji z prośbą o spalanie dzieł Majmonidesa. Działo się to w 1202 roku.

W Szampanii sławny Raszi zakłada w roku 1040—1105 dwie szkoły w Troyes i Ramerupt. Rabinizm zagarnia cywilną i duchowną władzę nad żydami, łączy wszystkie gminy w jedną zwartą całość, tchnącą nienawiścią do wszystkiego, co obce.

W 103 lat od owej epoki w roku 1208 miasto Troyes ogląda pierwszy stos, na który po raz pierwszy we Francji wstępuje żyd!

W Holandyi, w końcu XVII wieku wnoszą rabinu do gmin żydowskich ducha fanatyzmu i nienawiści; sypią się kłątwy za kłątwami, system inkwizycji działa w całej sile.

W Berlinie, za czasów Mendelssohna, starsi wypędzają z synagogi każdego, kto dopuścił się występku czytania książki niemieckiej, lub ogolenia brody.

Niezrozumiałym musi wydawać się taki wybuch fanatyzmu wśród ludzi, od wieków na zachodzie osiadłych i pozostających w tak dobrych materyjalnie warunkach.

Jeżeli jednak przypomnimy sobie historyję żydów egipskich — zjawisko to okaże się nam zupełnie naturalnem.

Zrozumiemy, że cywilizacja i umysłowość europejska zbyt obcą była i nieodpowiednią semickim sekcjarzom, aby była w stanie trwalszy i głębszy wpływ wyrzucić.

Zjawienie się mądrości, wypielegnowanej w Surze i Pumbedicie, zdmuchnęło od razu pokost europejski. Również jasnym jest dla nas, że potęga materyjalna, jaką rozporządzały gminy żydowskie, nie tylko nie sprzeciwiała się postępowi fanatyzmu, lecz, owszem, była dlań podporą.

W samej rzeczy, czyliż przewaga, jaką zdobył Izrael wśród ludów Zachodu, nie była dowodem jego nad owymi ludami wyższości i cóż warta była owa mądrość edomska, która nie była w stanie ochronić ludu swego przed nędzą i zależnością od Izraela? Skoro rozproszone gminy izraelskie potrafiły zagarnąć w swe ręce bogactwo kraju, znaleźć dostęp do królów, rządzić na dworach książęcych i biskupich, czyliż nie można było wnieść, że Izrael, zorganizowany w jeden związek, działając systematycznie

W tej chwili drzwi od korytarza się otworzyły i weszli lokaje z lodami.

— Ach! — krzyknęła Maryja w pół wyrazu strofki, i, opuszczając nagle suknię, usiadła zawstydzona na krześle, tyłem do stołu.

— *Charmant! Bravi!*

— Przestań pan — odtrąciła niecierpliwie Maryja Gurbaleckiemu, poczem, zwracając się do Hebalskiego, który już był znikł w głębi sąsiedniego gabinetu, zawołała:

— Panie Tadeuszu, panie Tadeuszu, tylko prędko, bo już lody podali.

— Lody?!... Ach! mój Boże — krzyczał Hebalski — ja jeszcze kuropatwy nie zjadłem. Garson!

— Uważam!

— Przynieś mi tutaj kuropatwę i jarzabka!

— Uważam, jaśnie panie — odpowiedział lokaj i wyszedł spełnić rozkaz.

— Istotnie — wtrącił *prezes* — kolor pończoszek jest przesłizny: zupełnie ciało!

— *Charmant!* Joli, jolil!... Takie same widziałem w Paryżu, kiedy byłem...

— Czemuż mi ich pan nie przywiózł?

— Ej!... bo jak na drugi raz pojedę, to przywiózł!

— Obiecanka — cacanka!...

— Ej!... bo przywiózł!...

— Kiedy pan nie pojedziesz...

— Ej!... bo kupię w Warszawie?

— Tak samo, jak bransoletkę!...

— Pardon!... Zapomniałem!

— Ehę!...

— Proszę o adres pończosznika.

— Nic łatwiejszego!... Senatorska, Herse.

— Kupię, kupię!... *Parole d'honneur!*... Zaraz sobie zapiszę w karneciku — mówił z jowialną dobroduszością Gurbalecki, udając, że pisze.

Artystka, nucąc bezmyślnie ostatnią zwrotkę aryi, odwróciła się z krzesłem do stołu, i, skinawszy na lokaja, który stał z boku, nałożyła sobie dużą porcję lodów na talerz.

— Wie pani?... Szczególna rzecz!... Jestem mało muzykalny — mówił Cieżyński, zwracając się do Maryi — mogę nawet powiedzieć, że nie jestem wcale muzykalny; nie znam ani jednej nutki, nie umiem powtórzyć ani jednej piosnki, ale słuch mam taki dobry, że, jak kto, *e-te*, fałszywie zagra lub zaśpiewa, to zaraz słyszę: to mnie razi, przykrość, że tak powiem, mi to sprawia...

— I cóż w tem tak szczególnego?... To zupełnie naturalne!...

— Przyzna pani jednak, że taka czułość ucha u człowieka niemuzycznego...

— *Ii!*... głupstwo!... Mój Azor wyje, jak mu grać na skrzypcach albo na trąbce, a cicho siedzi, kiedy śpiewam.

— Może... może właśnie z zachwyty nad pani głosem — mówił Cieżyński, cokolwiek skonfundowany, przeciągając całą ręką po brodzie.

— Gdzie tam!... Jest zupełnie niemuzyka-

ny!... Zapewniam pana, że nie zna ani jednej nuty...

— Może kto z państwa jeszcze, *e-te*, lodów?

— Dziękuję!

— Proszę!

— Doskonale!

— Piję za zdrowie kucharza!

— Oponuj!... Porządek przedewszystkiem, a zwłaszcza w kolei toastów!... Państwo pozwolą — mówił Cieżyński — że najpierw skończymy te kieliszki, a potem dopiero napełnimy inne węgrynem, aby przy tym szlachetnym napoju zapanowała wśród nas staropolska, *e-te*, wesołość i serdeczność, że tak powiem, harmonija

— *Charmant!*

— Ach! co za szumna przemowa — bąknęła pod nosem Maryja.

— Jestem, jestem! Widzicie państwo — wołał Hebalski, trzymając w jednej ręce ćwiartkę zapisanego papieru, a w drugiej olbrzymi ołówek — żem dotrzymał słowa: zjadłem kuropatwę i skończyłem artykuł!

— *Vivat!*

— *Vivat!*

— Narodzie, ucisz się i słuchaj! Jest teraz — mówił Hebalski z błazeńskim przejęciem, patrząc na zegarek — godzina pierwsza; o godzinie... zaraz, zaraz... dwadzieścia... cztery razy dwadzieścia = osiemdziesiąt... pięć minut na drugą... Tak: o kwadrans na trzecią artykuł w korekcie jest tu, i o kwadrans na trzecią śliczna *Nitouche* całuje mnie w czoło.

z raz określonym planem — stanie się panem Europy?

Następnym sformułowania tego planu zdobywczego—musiał być wzrost pychy plemiennej i sekiarskiej, pogarda ludności miejscowej, ich wierzeń i obyczajów, świadomie destrukcyjna działalność i sroższy jeszcze i bezwzględniejszy wyzysk. Spotykamy się w średnich wiekach z takim zjawiskiem, jak tajnych żydów na stanowiskach wysokich dostojników państwa i kościoła.

Sekta izraelska dała jedyny w dziejach przykład Wallenrodyzmu, stosowanego w praktyce.

Świetną charakterystyką żyda z owej epoki, lichwiarza i krwiożerczego fanatyka, takiego, jakim przedstawiał się współczesnym — znajdujemy w Kupcu Weneckim, Szekspira. Oczywiście, że taki nastrój musiał wywołać oburzenie wśród ludności chrześcijańskiej, już i bez tego coraz niecierpliwiej znoszącej jarzmo żydowskie.

Spotykamy się znów z przykładem owego fatalnego nierozumienia się dwóch szczepów. W chwili, gdy zaczepny judaizm, opanowawszy w swem przekonaniu, ludność chrześcijańską, czuł się niemal u celu—ta ostatnia jednym poruszeniem uwalnia się z fikcyjnych więzów i bierze odwet straszny na niefortunnych napastnikach.

Zdawało by się, że świeżą klęską dotknięta sekta, na nowych miejscach swego pobytu pozbędzie się swej fanatycznej wyłączności i zaczepnego charakteru, który tyle klęsk na nią w dziejach sprowadził; przekonamy się jednak na Polsce, że Izrael zbyt zakrzepł w swych pojęciach i formach, aby mógł zdobyć się na zmianę kierunku.

Zamiast wdzięczności za przytułek, udzielony żydom w chwili ogólnego przeciw nim wybuchu nienawiści—przeleli oni na lud, który ich przyjął, całą gorycz, jakim przesiąknięta dusza ich od czasów Antyjocha—do Filipa Pięknego.

Żydzi polscy, powiada Bellange, są najjaśkrawszym przykładem nieprzejednanego charakteru „Związku izraelskiego.”

„Polska jest jedynym krajem, mówi ten uczyony, gdzie żydzi nigdy nie zaznali prześladowania. Obdarowani samorządem najzupełniejszym, własnym sądownictwem cywilnym i karnym, posiadali prócz tego hierarchię własną: rabinów, nadrabinów i synody. Polskę słusznie nazwać można nowożytną Judeą. Otóż w Polsce właśnie rabinizm doszedł do zenitu. Nigdzie judaizm nie upadł tak nisko; nigdzie kazuistyka

talmudyczna i kabała nie gniotły straszniej umysłów Izraela. Pilpul — metoda ziarenek pieprzu, pozostawiła daleko po za sobą subtelności Tossafirów Szampanii i Amorraimów Babilonu. Nawet drobne dzieci ćwiczą się tam w mądrości talmudycznej. W tych warunkach skrytalizował się wstrętny typ polskiego żyda, ogłupionego modłami, drżącego przed rabinem i hasydami, niczemnego, brudnego, szwargoczącego żargonem potwornym, od 500 lat obcego tej ziemi, mieszkającym i mowie—tworzącego naród w narodzie.”

Naturalizm w teatrze niemieckim.

Gdyby ktoś przerzucił księgi estetyki niemieckiej i z nich chciał sądzić o kierunku literatury dramatycznej w Niemczech, to zdawałoby mu się mogło, że przez opony idealistycznych pleśni nigdy tam nie wionął duch realizmu nowoczesnego. Ani polatana poetyka Szerera, ani Hartmanna filozofia piękna, ani książki Carriera, ani wreszcie Vischera dzieło olbrzymie nie stały się taranem tych zasad, które z Szwecyi przez Ibsena, Strindberga i Kiellanda, z Rosyi przez Tolstoja, Turgeniewa i Dostojewskiego, z Francyi przez Zolę i Goncourtów zwiastowały nową erę w piśmiennictwie europejskim. A jednak Niemcy, choć może więcej jak inne narody chińskim murem przesądów, profesorskiego autorytetu i wstrętu ku nowacyjom się opasały, już dzisiaj świeżej krwi strumienie czują w żyłach swoich. Między teoryjami piękna a literaturą istnieje sprzeczność widoczna, sprzeczność ta atoli jest zupełnie zrozumiałym objawem. Teoryja bowiem prawie nigdy nie stwarza nowych w literaturze kierunków, lecz idzie w ślad za dziełami artystów, które są zawsze niemal przednią strażą systemów teoretycznych. Podobnie jak wiedza z empirycznych zdobyczy ogólne wnioski wysnuwa, a z nich nowe albo ulepszone buduje formuły i systemy, tak i poezycja w dziełach swoich nowe stwarza prądy, a estetyk ucho do jej piersi przykłada i z dosłyszanych dźwięków wysnuwa wątek świeżej teoryi piękna.

Chociaż więc estetyka Vischerów i Hartmannów drzemie jeszcze na wygodnych puchach starości, dramat niemiecki, z entuzjazmem i

fanatyzmem właściwym każdej młodej szkole, już na wielkich realizmu igrzyskach kruszy kopije zuchwale.

Mówiąc o scenach niemieckich trudno się z nad brzegów Sprewy oddalić, bo pędzel i dłuto germańskie wielbić mogą nad Isarą Ateny swoje, dla literatury i sztuki dramatycznej Atenami jest Berlin. Grono najwybitniejszych sił umysłowych, liczba teatrów, rosnąca z każdym rokiem niemal, znakomitość artystów podniosły stolicę Niemiec na ten szczybel drabiny artystycznej, z którego dziś już dumnie na Burg wiedeński spoglądać może; znamienne atoli jest cechą, że sceny królewskie tracą powoli swe blaski, a tylko nadworni Hohenzollernów pisarze cisną się jeszcze na próchniejące ich deski. Deutsches Theater, Residenztheater i Lessingtheater walczą o palmę pierwszeństwa i one to, niezrażone piskiem nietoperzy, kształciły smak publiczności, przygotowując ją powoli na nowej ery rozswity. Tłumy, rozkochane w klasycznym koturnie Schillera i wykarmione ideami o etycznym świecie porządku, zrazu chmurna żrenicą spoglądały na garść nowatorów, którzy w realizmie święcili cząstkę ogólnoludzkiej za prawdą pogoni i na podstawie nauk przyrodzonych tworzyli żywotną etykę naturalną. Ibsen i „Widma” jego zostały jeszcze przed kilku laty wyklęte, Nora filistrom niemieckim z ust słynnej wydarła, Zolą matki dzieci niesforne straszły. Jednakże ducha czasu nie złamali ani błędni rycerze oliwnych gajów Hellady, ni czcza retoryka i pruderyja wstrętna, niezłamały jej profesorskie powagi, wskazujące na folianty tradycyi, bo po krótkiej walce Ibsenowska Nora, Rosmersholm, Dzika kaczka sto kilkadziesiąt razy z rzędu ujrzały światło kinkietów, a tłumy w skupieniu ducha słuchały tych nowych i potężnych, drwiących i płaczących dźwięków. Ibsen nie wybrał sobie na scenie prawa obywatelstwa, lecz zdobył je elementarną potęgą geniuszu swego, a śladem mistrza poszły zastępy młodych pisarzy niemieckich. Z desek teatralnych mówić zaczyna Sudermann, autor dramatu „Die Ehre”. Widziałem utalentowanego poetę w krytyczny wieczór premiery. Drżący był i blady. Czy ten „wycinek natury”, rzucony przed stopy sceptycznej publiczności berlińskiej, zostanie zdeptytany? Czy ona, która niedawno jeszcze zachwycała się zmysłową wytwornością Dumasów i Ohnetów, znieśnie widoki cuchnącego błota, z którego autor zdziera zasłonę? Sudermann targnął

— W sam środek!
— Trzymam za słowo!... W sam środek!...
Garson!

— Uważam, jaśnie panie!
— Macie kogo posłać do redakcyi?
— Może iść parobek.
— Dobrze: oddaj mu to i powiedz... Albo nie: sam pójde do bufetu... Przecież mam telefon—mówi, uderzając się olbrzymim ołówkiem w czoło, i wyszedł na korytarz.

— Aha!... Mamy telefon i zaczęta butelkę!... Komedyjant — mruknął pocichu Cieżyński i kazał lokajowi otworzyć omszałą, sztucznie oblepioną palonym korkiem butelkę węgryzna.

Wszyscy już byli cokolwiek podnieceni. Kolacyja podana w porę, wódka, kilka gatunków win wyborowych, masa światła, wszystko to wpłynęło na humor towarzystwa, które zaczęło się grupować. Prezes, jak bonza chiński, przechylając się to naprawo, to nalewo, odpowiadał poważnie, uroczyście, a w rzeczy samej nudnie, na zaczepki i przywołania się to jednej, to drugiej sąsiadki. Ciotka, siedząc na kanapie koło Żądłowskiej, wciąż coś chrupiąc w zębach, rozmawiała przez stół z Gurbaleckim. Kulirowski, znajdując się pomiędzy Maryją a Gurbaleckim, porozumiewał się na ukos z Cieżyńskim, który siedział na lewym rogu stołu, przy kanapie, obok Ciotki. Krzesło Hebalskiego stało przy prawym rogu stołu, obok miejsca

Gurbaleckiego. Słowa rozmów tak się mieszały, że słycać było tylko jeden niewyraźny gwar.

— A to co? Wino ma jakiś zły smak—zawołał nagle Cieżyński, stawiając kieliszek, w którym na¹dnie, dla wypróbowania znajdowało się trochę złotego płynu.

— Jakto!... Taka firma?... Czyżby!—odpowiedział Kulirowski.

— Nol... Może przypadek!... Niech pan skosztuje—rzekł do niego Cieżyński, podając mu przez stół kieliszek.

— Mla!... mla!... Prawda: krew ma dobrą, ale ciało cokolwiek nadpsute — odparł Kulirowski, mlaszcząc wargami.

— Zdaje mi się, że je czuć stęchlizną... Pewnie korek był nieświeży... Otóż to z temi starymi winami to tak zawsze: nie możesz być pewnym, dopóki go nie odkorkujesz...

— Mla! mla!... To tak, jak z młodemi paniami, dopóki...

— Dopóki co—poderwała Maryja.

— Dopóki... się nie ożenisz—odparł Kulirowski.

— Charmant!... Quel esprit!...

— Garson!

— Słucham pana *mecenasa*.

— Otwórz drugą butelkę, a tę odnieś panu Feliksowi i powiedz mu, żeby na drugi raz korki oglądał uważniej...

— Słucham pana *mecenasa* — odpowiedział lokaj, spełniając obydwaj rozkazy.

— *Victorial*... Wszystko w porządku!... Artykuł jest już w drukarni!... Słyszałem przez telefon — wołał Hebalski, wpadając do pokoju i zajmując swoje miejsce—jak czcionki szczękały w palcach zecera!... Nie ma jak nasza cywilizacyja!... Telegraf i telefon—oto dwa wielkie wynalazki naszego umysłu!... Bez telegrafu i telefonu nie można redagować porządnie wielkiego dziennika!... Nic mi tak nie imponuje, jak telegraf i telefon!... W tej chwili właśnie załatwiłem się przez telefon...

— Zakładam się, że nie z kobietą — przerwał Kulirowski.

Hebalski, udając, że nie słyszy konceptu, przyłożył palec wskazujący do nosa, z wyrazem szczególnie zadziwionej małpy, i, nachyliwszy się do ucha Cieżyńskiego, zaczął tajemniczo szeptać:

— Tylko pan nie mów nikomu!... To, po co przed chwilą mnie wołano do telefonu, to depesza z Rzymu...

— Taak?

— Monsignor Ledóchowski zaniemógł nagle...

— Czy być może?

— Tak: papież, zaniepokojony, osobiście go odwiedzał!... Telefonowałem, jak mają wiadomość zredagować. Tylko pan nie mów nikomu, nikomu!

— Ależ!...

— Liczę na pana!

się energicznie na zasadę milczenia, a jednak w mgnieniu oka odniósł świetne zwycięstwo. I widzieliśmy córkę stróża kamienicznego w objęciach bankierskiego syna i widzieliśmy jej siostrę, ścielącą dla wesołej parki miękie, ustronne posłanie i widzieliśmy rodziców cieszących się zyskowną hańbą swego dziecka, a w dali błyszczał honor oficerski na jaskrawym szyldzie. Sceny w mieszkaniu stróża, skreślone z przedziwną prawdą, ukazały nam w młodym autorze najpierwszej wody pisarza; sceny w lśniących salonach, wzorowane na konwencyjonalizmie francuzkim, stanęły niżej, chociaż i tu znać oko bystre i przenikliwe. Tryumf Sudermanna był tryumfem prawdziwego talentu i tryumfem młodego realizmu niemieckiego. Te oklaski i te kwiaty, które się do stóp młodego autora sypały, były wyrazem serdecznej pogardy dla starej recepty, która artyście nakładała obowiązki fabrykanta gipsowych aniołków. Im więcej istot słonecznych poeta ukradł legendowym niebiosom, tym więcej laurów stroiło skronie jego, a gdy występował w szaty teatralne, wtedy kazał mu mrugać filuternie oczami i oblewał go potokami zmysłowego światła, kłamiąc naturze, idealizując na swój sposób nikczemność i wyuzdanie.

Była to francuzka pikanterija przeniesiona na sceny niemieckie, było to fałszowanie prawdy społecznej i psychologicznej niebezpieczne, bo apetyczne. Ten rodzaj tendencji dziś już w Niemczech przedśmiertnie odmawia modlitwy, istnieje atoli tendencyjność inna, która lubi stroić się w rewerendę i niby chór grecki ćwiczyć się w pedagogicznym kaznodziejstwie. Na autorze „Honoru” ciąży jeszcze ta klątwa tradycji i rezoner francuzki zjawia się nad czeluściami bagna społecznego, by nam powiedzieć: Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam i t. d. Zwarte szeregi naturalistów niemieckich gromem rzuciły na taki szablon etyczny i ze skrajnością entuzjastów ideału szukać zaczęły w absolutnym obiektywizmie.

„Sztuka to odbicie natury, a natura nie jest ni złą ni dobrą”—oto hasło młodych reformatorów, o którym pono już stary Hamlet wiedział. Ale któż jest w stanie kategorię „stań się” skreślić indywidualność ludzką? Jaki artysta dosięgnie bezosobowości przyrody? To też absolutny obiektywizm pozostał frazesem teoretycznym, a rezoner, przetopiony w realistycznym ogniu, skroplony i rozsuty istniał zawsze i nigdy istnieć nie przestanie. Granice sztuki autor wtedy dopiero przekracza, gdy indywidualność przybiera rażący kolorystyczny, gdy osobiste zabarwienie występuje jako rezultat widocznego zamiaru, gdy nie ludzie mówią za artystę, jeno artysta maryjonek ustami. Nora a Ibsen to nie jedno, ale w Norze jest cząstka Ibsena, Anzengruber i bohaterzy jego to nie identyczne postacie, a jednak mimo całego obiektywizmu czuć w nich namiętne serce poety. Rezoner Sudermanna—to tendencyja autora, ubrana w hawelok i bakobrody angielskie, rezonerzy Ibsenów,

Biornsonów, Tołstojów (Akim)—to ludzie z krwi i kości, żywi i prawdziwi.

Jedynymi może utworami, które najbliższe stanęły owego ideału „absolutnego obiektywizmu”, są dramaty „Familie Selicke” przez Holza i Schlafa, oraz „Friedensfest” przez Hauptmanna.

Familie Selicke to trzyaktowy obraz rodzinny, to historia jednej nocy w gronie rodziny niemieckiej, której ojciec jest pijakiem, a matka kłótnicą gderliwą. W małym łódeczku widzimy konające dziecko, jedyną pieczęcią i jedyną węzeł rodziców. Aniołem opiekunem rodziny jest córka, panna sklepowa, która odrzuca rękę ukochanego studenta-teologa, by czuwać nad małymi braćmi i niedobranem, skwaszonym stadłem małżeńskim. Nastrój tego realistycznego wizerunku jest trochę sztuczny, ale w każdym pojedynczym szczególe, w każdym słowie i każdym ruchu jest życie nagie i prawdziwe. Brak wszelkiej niemal kolizji i dramatycznego nerwu nuzi słuchaczy; słyszymy jęki za parawanem, widzimy starą kobietę lamentującą, bladą twarzą czkłę konfekcyjnerki, uparte miny młodszych jej braci, ale to wszystko kręci się w zakłętym kole jakies znużone i beznamiętne, a przyemionna lampa w smutne blaski stroi brudne ściany, wśród których tak mało się dzieje. Fotografija znakomita, technika wspaniała, obserwacja zadziwiająca niemal — na dramat jednak to trochę za mało.

Hauptmannowski „Friedensfest” niemal temi samymi odznacza się wadami. Autor chce à tout prix zostać oryginalnym i dla tego sztuki swą nie ochrzcił mianem dramatu lecz „katastrofy familijnej.” Tym razem spotykamy rodzinę dziwną, zgromadzoną w gwiazdkowy wieczór przy choince. Jeden z synów kiedyś temu ojcu wymierzył policzek i długo tułał się po świecie, zniechędzony przez rodzeństwo. Ojciec, stary idyjota, ścigany obłędem przesładowczym, błąkał się również za domem i po latach spotyka syna przy drzewku świątecznym. Następuje zgoda chwilowa, którą wnet sporne charakterystyki z powodu błahostki mało znaczącej w szalonej burze zmieniają. I znowu rozpręgają się węzły sztuczne, a „święty pokój” przestaje istnieć dla tych istot dziwnych choć prawdziwych. Jakże je zbratać te kwaśne, cyniczne, wrażliwe natury, których kolebka stała już na bagnie, które nikt kochać nie nauczył, które od dzieciństwa uczyły się już nienawiści. „Drzewko, światła, zgoda? O! jakież to wymężone, niezgrabne kłamstwo. My wszyscy jesteśmy z gruntu popsuci.” Tak się odzywa starszy syn Robert, którego charakterystyczna postać, nawskroś oryginalna i żywa, jest pięknem dla talentu Hauptmanna świadectwem. Wogóle nie ma w całym dramacie ani jednej osoby, któraby grzeszyła jakąkolwiek konwencyjonalnością i szkoda tylko, że z tak znakomitego materiału stworzono tak mało artystyczny budynek. Podobnie jak w dramacie Holza i Schlafa tak i tu razi

pseudorealistyczny język młodych pisarzy niemieckich.

Piękne okresy, ciosane zdania, misterne słówka? Prawda! W codziennym życiu ludzie nie mówią w dzwięcznych trocheach i lśniących perłach kaskady z ust im nie płyną, ale te urywane zdania, te tłumy półstówek, to plucie, kaszlanie, rżenie realistycznych bohaterów niemieckich jest równym fałszem, jak deklamacja klasyczna. Dum stulti vitant vitia in contraria currunt—z odmetów Scylli rzucili się reformatorzy młodzi w głębiny Charybdy. Hauptmannowski Robert, chcąc wymówić te proste słowa: „Co Buchnerowa zamierza”, w następujący sposób młynkuje językiem: „C...c...co Buch (kaszle)... Buchnerowa zam... co ona zamierza?”

I tak mówią wszystkie osoby Hauptmannów, Holzów i Schlafów. Zdaje się, że jakanie panuje tam epidemicznie, a prócz tego kaszel, katar i chrypka grasuje. Nie dosyć na tem, autorzy w szerokie komentarzach przepisują swoim bohaterom: jak mają mówić, jak kasłać, jak chodzić, jak oczyma przewracać, a przytem w jakiego koloru krawatki się ubierać i jakie guziki nosić przy mankietach. Tak np. w chwili, gdy na scenie ukazuje się dr. Schely (Friedensfest) Hauptmann dorzuca następującą uwagę: „Dr. Schely jest niezwyklejnie wysoki, o szerokich barach, mocno wydęty. Twarz tłusta, cera szara i nieczysta, oczy jakby zamarłe błyszczą się czasem jak lak, spojrzenie niepewne. Nosi on siwą, rozczochraną brodę. Poruszenia jego są ciężkie i drżące. Słowa jego przerywa oddech astmatyczny, mówi, jakby mąkę miał w ustach, i przeskakuje sylaby. Ubrany jest bez starania, kamizelka wyblakła, niegdyś brunatna, surdut i spodnie bez wyraźnego koloru. Czapka dziwaczna, o kamiennej barwie, z wielkim daszkiem. Na szyi chustka z surowego jedwabiu. Bielizna ponięta. Do wycierania nosa używa Scholz wielkiej chustki tureckiej. W ręce prawej trzyma trzcinę hiszpańską z rogową rączką, wielki płaszcz wojskowy na nim zarzucony, na lewym ramieniu wisi worek futrzany do ogrzewania nóg.” Niechaj ta jedna próbka dziwacznej pedanterii wystarczy na razie, zauważyć tylko wypada, że nie jest ona jeszcze najdrastyczniejszą.

Tak to nowoczesny realizm niemiecki nosi na sobie wszystkie cechy krańcowości, właściwej również epokom narodzin jak epokom rozkładu. Przecież romantyzm europejski podobnie przechodził koleje, a jak surowy materyjalizm w dziedzinie nauk przyrodzonych stał się cudotwórcą niegdyś, tak i dziś surowy, nieokrzesany i w formę artystyczną nieujęty realizm spełnia doniosłe zadanie reformy. Niedługo a przyjdzie chwila, w której pojęcia się wyjaśnią i, zrzuciwszy zgrzebną koszulę, staną do boju w szacie wytwornej nowej i żywotnej estetyki, by spełnić cywilizacyjne posłannictwo swoje. Tymczasem „młode niemcy” z brawurą entuzjastów cisną się naprzód, stwarzając wolne sceny bądź to o zakroju literackim, bądź o kierunku ludowym. Scena ludowa, z której przemawiać będzie Ibsen, Buchner i Alberti—tę myśl, której doniosłość uznał już Lassalle, stolica Niemiec w życie wprowadza. Sztukom wystawionym towarzyszyć będą wstępne odczyty popularne, a taniść miejsc, których cena będzie równą i których obsadę dla zachowania zasady równości i oszczędności — umożliwi nawet najbiedniejszym korzystanie z widowisk teatralnych. Ta „scena przyszłości” dodatniejsze prawdopodobnie odnieść rezultaty, niż literacka arena realistycznego dramatu, która w skutek niezręcznej reżyserii i ciasnoty artystycznych kierowników chyli się dziś ku upadkowi.

Tam gdzieśmy widzieli „Widma”, „Siłę ciemnoty” i „Czwarte przykazanie”, tam dla Goncourtowskiej „Henriette Maréchal” i Fittgerowskiego „Z bożej łaski” miejsca być nie powinno, a jednak i tym elaboratom wolna scena nie odmówiła gościnności. Z drugiej strony przyznać trzeba, że poranki spędzone w Lessingteatrze, dokąd na igrzyska realizmu śpieszyli zwolennicy wolnej sceny, odsłoniły oczom naszym świat nowy, tak inny, tak odmienny od tego elegancckiego buduaru, tej sentymentalnej chatki, albo rycerskiej zbrojowni, na które długo patrzeć nam kazano. Po za tem wszystkim jest inna ziemia i ludzie inni, po za tem wszystkim sły-chać inne jęki, szept, i skargi, po za tem wszy-

— Jak na Zawiszę!

— Dziękuję!

— Państwo pozwolą — zawołał głośno Cieżyński, powstając uroczyście z krzesła — że jakkolwiek nie będąc artystą, nie należąc do sztuki...

— Aha! mówka!... Csil... csil... — wołała Maryja.

— ...A raczej należąc do działu innej sztuki—sztuki, w której piękno, krasomówstwo, jest, że tak powiem, poboczną tylko cechą, środkiem, nie zaś celem—wyrzucę moją cześć, albo lepiej: złożę hołd idei, która nas łączy. Tak jest, panowie i piękne panie...

— Niechże się Ciocia ukloni—szepnęła Maryja przez stół.

— Mańka, daj pokój!

— ...Tak jest: społeczeństwo nasze.

— Zaczyna być nudne — szepnęła Maryja na ucho Kulirowskiemu.

— ...Rozbite na partyje i partyjki, na koterije, że się tak wyrażę, wrogie sobie i nie-

nawistne, łączy się w jednej idei, w sztuce, która...

— Charmant! — wykrzyknął Gurbalecki, rozpuszczając grudkę lodów na języku.

— ...W sztuce, która dla nas jest w tej chwili przystanią, co mówię? portem wielkim, wspaniałym, pięknie zbudowanym!...

Pani Żądłowska poprawiła się na otomanie, wyprostowała się i przybrała uroczyście miną greckiego posagu, dobrze zbudowanego.

— ...Tak jest: nasza sztuka jest portem, w którym okręt naszego społeczeństwa nie tylko, że zapuszcza kotwicę, ale...

— Czy nie chciałbyś pan być majtkiem na tym okręcie—szepnął Hebalski Gurbaleckiemu do ucha, chwytając się przytem obiema rękami za baczki.

(d. c. n.)

Antoni Sygietyński.

stkiem inne namiętności, inne bóle i życie jest inne.

Władysław Rabski.

GŁOSY.

— Z prasy.

W cytowanym już przez nas artykule *Niedzieli* znajdujemy ciekawe szczegóły o usiłowaniu żydów wkrzeszenia języka hebrajskiego, dla nauki którego powstaje dużo kółek.

„Takiemi są, powiada *Niedziela*, kółka w Odesie, Moskwie, Warszawie, Elisawetgradzie i t. d. i nawet w małych miasteczkach. W Wilnie założone towarzystwo „Sopo Bruro”, mające na celu wprowadzenie w użycie tego języka wśród żydów. Członkowie towarzystwa obowiązują się mówić między sobą po hebrajsku i nakłaniać innych do uczenia się tego języka, lekcje są bezpłatne. W Połocku zakłada się biblioteka hebrajska. 14 kwietnia w Odesie żydzi miejscowi dawali obiad na cześć Cederbauma, redaktora-wydawcy gazety *Hamelic* w języku hebrajskim. Wszystkie toasty i mowy wypowiedziane były wyłącznie w tym języku, między innymi z długimi mowami wystąpiły trzy młode panny, podnosząc zasługi p. Cederbauma i szybkie rozpowszechnienie starożytnej mowy proroków, dzięki zamianie tygodników hebrajskich na dzienniki”.

Prawda w dalszym ciągu zdobi swe szpalty płodami ducha p. Leona Winiarskiego. W numerze 35 tego pisma w *Listach społeczno politycznych o Francji* znajdujemy ustęp następujący:

„By zakończyć rzecz o projektach, dodajemy, iż wszystkie partje zgadzają się na konieczność ustanowienia przymusowego wycieczki raz na tydzień, ze względu na moralność i higienę. Zdania podzielone są tylko co do dnia, który ma być wybrany. Pomimo wymownej interwencji p. de Mun, a może właśnie z powodu tej interwencji, izba nie chce przystać na niedzielę. Powstrzymuje ją wzgląd nader szanowny: bojaźń, aby nowe prawo nie zostało zabarwione jaką przymieszką religijną. Jest to obawa tym bardziej usprawiedliwiona, iż kongregacja, powypędzana z kraju, powoli się napowrót wkradają do swych gniazd jacezurczych, zrywając pieczęci z zamkniętych klasztorów. Porozkładały już one w wielu miejscach swe kramiki, sprzedają msze i amulety, oplatając ludność po dawnemu jadawitą siecią demoralizacji i wyzysku”.

Nie możemy zgodzić się z [poglądem autora. Zarówno interesy pożytku towarzyskiego, jakoteż skuteczność kontroli nad wykonaniem prawa wymagają, żeby dzień wycieczki był wspólny dla wszystkich pracujących. Dniem takim w społeczeństwach europejskich może być tylko niedziela. Oprócz względów tradycji i przyzwyczajenia, przemawia za niedzielą to, że dla znacznej części narodu niedziela jest świętem religijnym, podczas, gdy niewierzącym jest absolutnie wszystko jedno, w jaki dzień odpoczywać będą.

— **Zabezpieczenie nauczycieli na starość.** Posiadamy dziś jedną tylko instytucję, a mianowicie schronienie dla nauczycielek, mającą na pieczy losy bardzo licznej, bardzo zasłużonej społeczeństwu i bardzo materyjalnie uposledzonej klasy nauczycielskiej. Schronisko jednak dzięki swemu uspecjalizowaniu nie może myśleć o roli bardziej ogólnej a tymczasem pomocy na starość potrzebują nie tylko kobiety — nauczycielki, ale i mężczyźni. Inicyjatywę instytucji pomocy nauczycieli podnosi obecnie p. W. Górski, przełożony znanego w Warszawie zakładu.

Myśl p. Górskiego przedstawia się jak następuje: Wielu z uczniów, uwolnionych w szkołach od wpisów, zajmują później stanowiska wyższe, stają się bogatymi. Otóż tacy winni uważać darowane niegdyś wpisy za pożyczkę, zaciągniętą u społeczeństwa. P. W. Górski proponuje z uiszczonoego przez osoby takiego długu stworzyć fundusz pomocy dla podupadłych nauczycieli. Inicyjator podobno wprowadził nawet ten zwyczaj w zakładzie swoim i uwalnia niezamożnych uczniów od wpisu właśnie pod tym warunkiem. My ze swej strony możemy podnieść całą doniosłość inicyjatywy p. Górskiego, przypominając jednocześnie, iż myśl ta innymi czasy zajmowała Wierzchlejskiego, Papłońskiego i kilku innych.

Sądźmy, że utworzenie funduszu ratunkowego dla starych nauczycieli jest sprawą, która zyska sympatyczne poparcie ogółu i że przy-

kład p. Górskiego znajdzie rychło naśladowców. Musimy jednak zaznaczyć, iż źródło dochodów, proponowane przez inicjatora samo nie odpowie potrzebom, ponieważ da się wyzyskać po dłuższym dopiero czasie. Należy więc obmyśleć sposoby, przy pomocy, których prędzej i na większą skalę dałoby się zebrać niezbędne fundusze.

* * *

— **Szkoła ogrodnicza.** Do nielicznej dotąd kategorii naszych szkół specjalnych przybywa obecnie szkoła ogrodnicza, założona w Częstochowie przez p. Z. Zawadę. Zakład będzie funkcjonował pod bezpośrednim zwierzchnictwem ministerjum dóbr państwa, które ma udzielać mu 2,000 rs. i wyżej rocznej zapomogi. Program wykładów w szkole obejmuje następujące przedmioty: religiję, języki rosyjski i polski, matematykę, fizykę, chemię, owocarstwo, kwaciarstwo, warzywnictwo, hodowlę szkółek, zakładanie parków, miernictwo, budownictwo ogrodnicze (altany, i t. p.) i rysunki techniczne. Lekcje mają się odbywać w miesiącach zimowych, latem zaś będą prowadzone roboty praktyczne. Nauka ma być udzielana bezpłatnie, od uczniów jednak wymaga się co najmniej ukończenie dwóch klas szkoły miejskiej. Etat nauczycielski, prócz księdza i dyrektora szkoły, stanowi jeszcze dwóch nauczycieli specjalnych. Tyle danych zawierają w sobie doniesienia dziennikarskie. Jeżeli prawdą jest również i to, iż prowadzący szkołę p. Z. Zawada posiada gruntowne, wyższe ukształcenie, to możemy wyrazić nadzieję, iż zakład w istocie przysporzy potrzebnych krajowi, wykwalifikowanych pracowników.

Z KRAJU.

Ankieta w sprawie żydowskiej. — Wskazówka dla badaczy. — Żyd rolnik. — Fałszywa skarga. — Kilka słów o emigracji do Brazylii.

W jednej z poprzednich kronik wspominałem o kwestyjonyjusz dla zbadania: „czem się zajmują żydzi”, zaznaczając, że tą drogą niepodobna zebrać odpowiednich informacji. Jeżeli bowiem dane, zbierane będą w sposób, w kwestyjonyjusz wskazanym — to potrzeba wielkiej ich ilości, żeby wyciągnąć jakieś wnioski, potrzeba całych tomów materyjałów i osobnego biura czy komisji dla ich opracowania. Dokonywane przez ziemstwa w Rosyi, według mniej więcej tej samej metody, opisy pojedynczych pojedynczych powiatów wymagały zazwyczaj pracy kilku ludzi i kilku lat czasu. A statystycy ziemscy mieli przecież zupełną swobodę zbierania danych i żądania wyjaśnień — czego autorowie odpowiedzi na kwestyjonyjusz mieć nie mogą. Jeżeli zaś danych dostarczać będą władze i stowarzyszenia: burmistrzowie, wóje gmin, kahały — to te same wiadomości figurują już oddawna w wydanictwach urzędowych.

Obecnie dowiaduję się, że oprócz zbierania odpowiedzi na kwestyjonyjusz postanowiono zbadać sprawę w inny jeszcze sposób, mianowicie za pomocą wydelegowania kilku inteligentnych żydów, którzyby objechali rozmaite okolice kraju. Jest to, zapewne, daleko lepszy sposób zbadania danej sfery stosunków, byle tylko delegaci chcieli i umieli patrzeć obiektywnie. Niestety, co do kompetencji badaczy mam pewne, bardzo poważne wątpliwości. Wiem o kilku z nich, że są ludźmi inteligentnymi, ale urodzili się i wychowali w Warszawie i daleko mniej znają żydów prowincjonalnych, aniżeli np. przeciętny warszawiak chłopoty. Przypuszczam natomiast, że w ocenie stosunków, potrafią być bezstronnymi, a przynajmniej niezbyt stronnymi. Zdaje mi się tylko, że pytanie: czem się zajmują żydzi, dotyka również i ludności chrześcijańskiej, i że dla uniknięcia zarzutu stronności wypadłoby dość wspólnej pracy powołać kilku chrześcijan, którzy nieraz lepiej może znają odnośne stosunki, aniżeli inteligentni żydzi warszawscy.

Słyszałem, że badaczy tych uderzył przede wszystkim fakt strasznej nędzy, w jakiej pograżona jest znaczna, przeważna nawet część ludności żydowskiej w prowincyi. Istotnie, tru-

dno sobie wyobrazić większą nędzę, ale nie dosyć poprzestać na jej zaznaczeniu, wypada głębiej sięgnąć do jej przyczyn. Tymczasem obawiam się, że istnienie strasznej nędzy wśród żydów może być użyte jako argument, usprawiedliwiający ich z tego, „czem się zajmują”. Argument taki obrońcy żydów często wysuwają, twierdząc, że żydzi z nędzy zmuszeni są zajmować się faktorstwem, oszustwem, paserstwem i t. d. Rozumie się, że fakt tak prosto, tak nawiśnie objaśnić się nie da.

Szanownym badaczom poleciłem do zwiedzenia kilka miejscowości w gub. lubelskiej, które przy objeździe pośpiesznym zapewne ominęli. O kilka wiorst od Iwangrodu znajduje się wieś Krasnoglina. Właściwie mówiąc, nie jest to wieś, ale osada strycharska, mieszkańcy bowiem nie posiadają roli i nie prowadzą gospodarstwa, ale zajmują się wyrobem cegieł w pobliskiej, wielkiej cegielni parowej. Obecnie już od roku cegielnia, dzierżawiona przez żyda, stoi, posiada bowiem duży zapas niesprzedanej cegły. Strycharze i wyrobnicy mieszkają w domkach lub barakach, przy których znajdują się ogrody, roli, jak mówiłem, nie posiadają, żyją z przypadkowego zarobku przy naprawie szosy, przy kolei i t. p. Otóż w tej osadzie biedaków, nie mających włożyć czego do ust, osiedliło się w ostatnich czasach kilkanaście rodzin żydowskich. Oprócz dwóch czy trzech żydów, z których jeden zajmuje się tajną sprzedażą wódki, żaden z pozostałych nie ma nie tylko stałego, ale nawet określonego zajęcia, żaden na zarobek nie chodzi, a wszyscy jednak żyją, nie świetnie wprawdzie, ale lepiej od współmieszkańców chrześcijan. Podczas krótkiego pobytu w tej miejscowości nie mogłem zbadać, w jaki sposób odbywa się proces eksploatowania ostatecznych nędzarzy, dla tego właśnie polecam pp. delegatom tę miejscowość.

Zaznaczę tylko, że podobne fakty często się zdarzają: im ludność biedniejsza, tym tłumniej obsiadają ją żydzi, tym skuteczniej eksploatują. Pasorzyty pełnią się najlepiej na organizmach wyniszczonych, słabych.

Warto byłoby także zajrzeć w okolicach Chełma do wsi Czuczycze. Stanowi ona, jakby jedną całość z wsią drugą — Sajczyce, a mieszka w niej, jak mi mówiono, z górą trzydzieści rodzin żydowskich. Z żydów tych również kilku tylko posiada takie określone zajęcia, jak np. faktorstwo, czem zajmują się pozostali — trzeba dopiero zbadać lub poczekać aż sędzia śledczy czy też policja zajmą się kiedyś tą sprawą.

Żydzi w osadach i miasteczkach zawsze prawie wylegitymują się jako tako ze swych zajęć: rzemiosł, kramarstwa, faktorstwa i t. d. Pozostali bowiem tam przeważnie ci, którzy mają jakiś sposób do życia, gdy tymczasem ruchliwsi, a wszelkiego zajęcia pozbawieni, rozpełzli się właśnie po wsiach.

Jaki oni proceder uprawiają, z czego żyją, czem się zajmują — oto co przede wszystkim należy zbadać, jest to bowiem nowa formacja pasorzytów, nowa organizacja wyzyskiwaczy, która dopiero powstaje, próbuje swych sił, wymyśla nowe sposoby „zarobku”, jakby się wyraził *Izraelita*.

W sąsiedztwie wspomnianych wyżej Krasnoglina leży wieś Żdźary, w której znajduje się ciekawy okaz żyda-rolnika. Przy uwłaszczeniu w 1864 r. otrzymał on kawałek gruntu, na którym prowadził gospodarstwo, nie zajmując się ani rzemiosłem, ani handlem, ani faktorstwem. Ten Teigman (tak się nazywa, jeżeli dobrze pamiętam) jest takim samym rolnikiem, jak sąsiedzi jego, chłopi. Nie wesoły jednak żywot prowadzi ów biedak. Chłopi z nim żyją, ale w zupełności przystać do nich nie może, współwyznawcy zaś jego, nie tylko czcigodni kupcy i faktorzy, ale nawet najnędzniejsi biedacy bez zajęcia pogardzają tym „chleborobem”.

I daję mu to uczuć na każdym kroku. Wymieniam umyślnie miejscowość i nazwisko, bo chciałbym, żeby ktokolwiek z żydów inteligentnych fakt ówsprawił. Herszek, który tajemnie sprzedaje wódkę, Moszek, który przeprawia na lewy brzeg Wisły konie, skradzione na prawym, Icek, który chłopom na lichwę pożyczka i t. d., cieszą się szacunkiem współwyznawców o ile dobrze prowadzą swe interesy i ściśle zachowują przepisy zakonu, uczciwy zaś „chlebo-

rób" jest paryjasem, zaledwie tolerowanym w Izraelu...

Gazeta radomska podaje ciekawy fakt, ilustrujący pewną stronę stosunków żydowskich na prowincyi.

W lży służy starszy strażnik ziemski, który gorliwie śledzi koniokradów i już kilkunastu żydów oddał w ręce sprawiedliwości. Niejednokrotnie wspólnicy ukaranych odgrazali się strażnikowi, wreszcie ukartowali przeciw niemu intrygę. Jedenastu żydów podało do nowo-przybyłego naczelnika powiatu denuncjację, w której oskarżają strażnika, że przed dwoma laty wziął łapówkę za wypuszczenie złodzieja. Szczegóły faktu i nazwiska świadków podane są dokładnie, korespondent jednak twierdzi, że są to świadkowie fałszywi i że oskarżenie zmyślane zostało od a do z w celu usunięcia zbyt energicznego przesładowcy koniokradów. Nie pierwszy to i nie ostatni fakt w tym rodzaju, owszem fałszywe denuncjacje stanowią w rękach żydów broń potężną, którą walczą oni skutecznie ze swymi przesładowcami. Nawet pisma, które pozwalają sobie mówić otwarcie w kwestyi żydowskiej, doświadczają na sobie skutków tej taktyki...

Donoszą nam z Piotrkowa, że w ostatnich czasach dostawiono tam stu kilkadziesiąt emigrantów, wybierających się do Brazylii. Jednocześnie w kilku miejscowościach gubernii aresztowano agentów, namawiających ludność do emigracji. Są to przeważnie żydzi, a nawet istnieją przypuszczenia, że główny agent, zamieszkały w Lizbonie, jest żydem emigrantem z gubernii piotrkowskiej. Wszystkim im wytoczono sprawę, będziemy więc mieli zmniejszoną kopję procesu wadowickiego, z tą różnicą, że jednymi winowajcami są tutaj agenci. Pomiędzy osobami, które zamierzały emigrować, jest kilku ludzi względnie zamożnych. Pewien obywatel miejsciz Tomaszowa sprzedał dom za 7,000 rs. i pieniądze rozpozyczył emigrantom, wymawiając sobie olbrzymie procenty. Obecnie uczynnego kapitalistę oraz większą część dłużników jego aresztowano, rozumie się, o odebraniu wypożyczonych pieniędzy nie ma mowy. Nie jest to, jak powiadają, przykład pojedynczy, przeciwnie, są już dziś dość liczni spekulanci, którzy pożyczają „na emigrację”, licząc na wielkie zyski w przyszłości. O sprawie emigracji pomówimy wkrótce obszerniej, tutaj zaznaczymy tylko, że požądane są jak najbardziej szczegółowe relacje o nowo rozbudowanym ruchu wychodzącym do Brazylii, który tak gwałtownie się rozwinął. Jak wiadomo, istnieje komisja, zajęta zbieraniem materiału, dotyczącego emigracji polskiej i wydała w swoim czasie kwestyjonyjusz, który kilka pism przedrukowała. Osobom, pragnącym zająć się zbieraniem odnośnych danych możemy na żądanie pomieniony kwestyjonyjusz przesłać, idzie bowiem o to, żeby grupowano materiały według jednakowych wzorów, w celu uniknięcia podwójnej roboty.

J. Nieborski.

Korespondencyja „Głosu”.

Z Łodzi, w sierpniu.

Od niejakiego czasu Łódź przedstawia nam dość ciekawe widowisko. Emigracja przybrała tam nagle niebywałe dotychczas rozmiary i skierowała się w stronę, dokąd jeszcze łodzianie nigdy się nie udawali, a mianowicie do Brazylii. Fakt ten zwrócił już uwagę całej naszej prasy i dzienniki przepełnione są szczegółami o emigracji.

Wychodźtwa wcale nie jest u nas nowym faktem, praktykuje się ono w Łodzi i w okolicy już od lat wielu. Skierowane było dotychczas do wschodnich gubernij Rosyi i do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Emigracja w pierwszym kierunku powstała sama przez się, emigrantów nikt nie podmawiał; szli oni na wschód, z własnego popędu, wiedząc, że tam mogą znaleźć zarobek, o który w Łodzi było niekiedy trudno. Wychodźcy dochodzili nawet do Kaukazu. To poszukiwanie zarobku często ich zawodziło, ale agenci emigracyjni nie grali tu żadnej roli. Natomiast drugi kierunek do Ameryki północnej w znacznej części był dzie-

łem agentów, niezupełnie jednak, gdyż przybywająca do Łodzi z za granicy ludność niemiecka przynosiła już ze sobą popęd do emigracji, w tym kierunku i rozszerzała wiadomości o Ameryce wśród ludności miejscowej. Agenci emigracyjni byli tu bardzo czynni, namawiali kogo było można, rozpowszechniali broszury o emigracji i t. d. Rozumie się, iż w chwilach zastoju w interesach, gdy znaczna ilość robotników pozostawała bez pracy, prąd emigracyjny silnie się wzmagał. Podczas pamiętnego przesilenia przemysłowego w 1883/4 r. emigracja przybrała znaczne rozmiary, nie dorównała jednak dzisiejszej emigracji do Brazylii.

Od roku zeszłego Łódź znowu dotknięta została przesileniem przemysłowym, które jednak co do siły znacznie pozostaje w tyle po za przesileniem 1883/4 r. i z drugiej strony zbliża się już ku końcowi. Na horyzoncie handlowo-przemysłowym pojawiają się już oznaki polepszenia stanu interesów, zdawałoby się więc, że obecnie emigracja w wielkich rozmiarach nie ma racyi bytu, a jednakże widzimy zupełnie co innego. Gorączka emigracyjna jest nadzwyczaj silną, silniejszą niż kiedykolwiek. Zdaje mi się, iż może to posłużyć za jeden z dowodów, iż dzisiejszy prąd emigracyjny jest w pewnej części dziełem agentów. Dowodów, potwierdzających moje przypuszczenie, znajdzie się więcej.

Przed niedawnym jeszcze czasem nikt u nas nie słyszał o Brazylii; była to dla łodzian zupełna *terra incognita*, dziś jednak każdy coś wie o tym kraju, o jego stosunkach, faunie, florze i t. d. Skądże się wzięły te wszystkie wiadomości? Rozumie się, iż musieli je rozpuścić agenci.

W 1883/4 r. emigrowali wyłącznie robotnicy fabryczni i drobni tkacze, pracujący w domu dla różnych fabrykantów, dziś zaś ruch emigracyjny nie ogranicza się do tej sfery, lecz ogarnął i inne, mianowicie: rzemieślników, właścicieli domów, włościan okolicznych, nawet drobniejszych przemysłowców. Są to sfery, którym przesilenie przemysłowe słabo zaledwie daje się uczuć, a jednak i oni emigrują. Czyż to wszystko nie dowodzi, że ręka agentów odgrywa w tej sprawie wielką rolę?

A ci mówcy, pojawiający się po szynkach, wygłaszający mowy, do zebranych, nakłaniające ich do emigracji. Nawet w 1883/4 r. mówców takich nie znano w Łodzi, a przecie wówczas były poważne przyczyny do emigracji.

Wśród robotników krąży w znacznej ilości drukowane cyrkularze, odezwy, broszury, wszystkie z podpisem głównego agenta, zamieszkałego w Lizbonie — José de Santos. W jego imieniu działają wszyscy sub-agenci, operujący w najrozmaitszych miejscowościach, gdyż ruch emigracyjny do Brazylii ogarnął nie tylko Łódź i jej okrag przemysłowy, lecz najrozmaitsze okolice Królestwa i gubernij północno-zachodnich. Agenci uwijają się pod Warszawą, w gubernii płockiej, suwalskiej, wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i t. d. Wszędzie rozpuszczano te same pogłoski, wszędzie to samo obiecywano wychodźcom, co wskazuje, iż działała tu jedna ręka. Najlepszym dowodem jest okoliczność, iż pewnego dnia w Łodzi oddano na pocztę znaczną ilość listów rekomendowanych do Lizbony, które prawie wszystkie były adresowane jedną i tą samą ręką.

Rozumie się, iż władze wpadły na trop agentów, co pociągnęło za sobą aresztowanie pewnej ilości osób.

Jak dotychczas emigrowali do Brazylii prawie sami Niemcy, udział ludności polskiej jest bardzo mały; żydzi z początku tylko rzucili się do wychodźtwa, później zaś dali spokój Brazylii i emigrują po staremu do Palestyny, Ameryki północnej i Afryki południowej.

Oznaczenie rozmiarów emigracji jest rzeczą niezmiernie trudną, wiadomo, iż w Szczypiornie władze powstrzymały od wychodźtwa odrazu przeszło sto rodzin, w Granicy trzydzieści, w Kaliszu w ostatnich czasach również zawracają znaczne partyje z powrotem do domu.

Zdaje się, iż listy od tych, którzy już dostali się do Brazylii i którzy tam cierpią nędzę, zdolają powstrzymać ruch choć w części.

Pracownik.

Minsk gub., 26 sierpnia 1890.

W sprawie korespondencyj prowincjonalnych¹⁾.

Od jednego ze współpracowników *Głosu* dowiedziałem się, iż pragniecie opracować poradnik dla korespondentów. Ponieważ sprawa ta jest dopiero w zaczątku, niechże mi wolno będzie, jako bezpośrednio w niej zainteresowanemu, wypowiedzieć w tej materii parę uwag własnych.

Czem jest dotychczas korespondent i sprawa doniesień prowincjonalnych w ogóle? Pytanie to nasuwa się mimowoli i rozwiązanie jego jest koniecznym, jeżeli chcemy dokładnie zbadać poruszoną tu kwestyję, oraz wytknąć jej nadal możliwie prawidłowy kierunek.

Zacznę od „ogółu”. Wykształcająca jego część otacza korespondentów pewną życzliwością i poważaniem, o ile ci mają na widoku cele ogólne, społeczne, karcie zaś surowo każde zstąpienie korespondenta do prywaty. Dla całej wszakże masy czytającej, korespondent jest to człowiek, który ma możność przypiąć komu „łatkę”, „osmarować”; należy się go więc przedewszystkiem obawiać. Obawa ta wpływa jeszcze i ztąd, że jednostka, pisząca do druku, w oczach masy uchodzi za istotę wyższą, poniekąd niepojętą, a wiadomo, że przy niskiej kulturze umysłowej zjawiska niepojęte, przejmują pewną obawą i po części szacunkiem. Ze wszystkich terminów, określających ludzi piszących, najbardziej są rozpowszechnionymi w masie nazwy: literat, korespondent i krytyk, przy czem ostatni termin jest często jednoznacznym z „korespondentem”. Dodać należy, iż nazwa „korespondent” na prowincyi wzbudza większe poważanie, niż „literat”; wpływa to zapewne ztąd, iż pierwsza jest bardziej konkretnym terminem, niż druga, a przy tem z nazwą „literat” związana jest myśl — wprawdzie nie nowa — o... butach dziurawych, w jakich zazwyczaj przedstawiają sobie na prowincyi ludzi piszących. Masa również żąda, a by korespondenci pisali o rzeczach ogólnych, to jest ogólnikowo, bez wymieniania osób — jeżeli korespondencyja traktuje o rzeczach ujemnych. Najbrudniejsze sceny, najwstrętniejsze skandale, nawet opisy z życia prywatnego masa przyjmuje z wdzięcznością, byle tylko nie byli wyprowadzeni na scenę sprawcy tych skandałów i scen. I na odwrót, gdy mowa o sprawach dla prowincyi pochlebnych, wówczas masa obdarza największym uznaniem te właśnie korespondencyje, w których znajdują się opisy osób działających. Niekonsekwencyja ta pochodzi ztąd, iż masa, pogrążona częstokroć w życiu koteryjnym, kastrotem, nie pojmuje, gdzie się zaczynają sprawy społeczne. Skutkiem tego widzimy często, jak kwestyje istotnie społeczne, poruszone przez korespondentów, przechodzą niemal bez śladu, gdy sprawy często osobiste, w rodzaju wesela pary herbowej, zajmują uwagę ogółu prowincjonalnego przez kilka tygodni nawet.

Jeżeli wśród ogółu czytelników panują względem korespondentów pewne poglądy opaczne, dziwić się temu nie można, gdyż ogół, jako taki, nie ma pretensyi do badania pulsu społecznego. Natomiast smutnem jest to stanowisko, jakie zajmuje w omawianej kwestyi prasa, która, przecież, jest kierowniczką opinii publicznej. Wprawdzie ilość korespondencyj w ostatnim 5 — 8 leciu znacznie się zwiększyła; sam zamiar ułożenia wskazówek dla korespondentów dowodzi, iż część przedstawicieli prasy patrzy na kwestyję poważnie i głębiej; nie przeczy to jednak wcale memu założeniu.

Przedewszystkiem muszę zaznaczyć to lekceważenie, z jakim prasa warszawska traktuje sprawy korespondencyj w ogóle. Parę lat temu jedna z gazet codziennych w odpowiedziach redakcyi wyraziła się, iż chętnie przyjmuje doniesienia z prowincyi, o ile takowe dochodzą do rąk redakcyi, lecz że o stałe stosunki z piśmem winna dbać sama prowincyja. Żądanie słuszne, brak tylko w niem tego, co Ochorowicz w swych „Listach do przyszłej narzeczonej” nazywa psy-

1) Ze względu, że rozbiór tak ważnej dla naszej prasy kwestyi współpracownictwa prowincjonalnego wymaga dyskusyi ludzi, z warunkami tego współpracownictwa obczanych, dajemy chętnie głos w tej sprawie naszym korespondentom, zastrzegając sobie w przyszłości wypowiedzenia własnego zdania.

Red.

chologiczną harmoniją”, słowem brak subtelniejszych objawów współczucia. Zapewne prowincja sama winna pamiętać o swych potrzebach, ale, z drugiej strony, redakcja powinna rzucić słowo zachęty, dać wreszcie pewne wskazówki. Przecież korespondenci, jakkolwiek inteligentni, są to po większej części ludzie pracy codziennej, zarobkowej, nie umieją często ułożyć listu po literacku. Takie więc traktowanie z trójnoga jest, co najmniej, niestosownem, tymbardziej, że czasy już nie po temu. Wiem o paru wypadkach, gdzie redakcje nie raczyły odpowiedzieć swym korespondentom nawet na listy frankowane, a to przecież bynajmniej nie zachęca do zawiązywania ściślejszych z piśmem stosunków.

Drugą wadą wielu redakcyi jest schlebienie ogółowi, na czem rozmaite brukowe i szlacheckie pisma robią wcale niezłe interesy. Zamiast poważnych zagadnień życia prowincjonalnego, czytelnik tych pism otrzymuje sążniste opisy wesel z „uroczą panną młodą” na czele czysto reporterskie doniesienia, a czasem szablonowe, niekrytyczne i często bezpodstawowe alarmy na obecną niemoralność, nastawianie na „podwaliny”, na całość „ogniska” i t. p.: Wszystko to przedstawia często taką mieszaninę grochu z kapustą, iż należałoby dziwić się cierpliwości papieru. Dzięki temu schlebaniu czytelnikom korespondenci nie poznają nieraz swych listów w druku, taką postać przybrały ich poglądy pod ółwkiem redaktorskim—gwoli partyjnym potrzebom. Nie dziwmy się jednak, jeżeli tenże ogół bardziej popiera takie pisma, bo, będąc z natury rzeczy mało krytycznym, przyjmuje podany sobie „pokarm duchowy” tym przychylniej, że elukubracje te są utrwalonym w druku oddźwiękiem jego własnych myśli.

Wniosek więc jasny, że jak w tej, tak i w każdej kwestyi na całym obszarze myśli ludzkiej prasa winna prostować opaczne poglądy czytającego ogółu, boć przecie pisma są nie tylko zbiorem ciekawych wiadomości, lecz i szkołą zarazem. Odnośnie więc do interesującej nas sprawy musimy sobie uprzytomnić: czem być powinien korespondent, oraz jaką rolę ma odegrać względem niego prasa.

Prowincyja zarówno jak i stolica posiada masę potrzeb w najrozmaitszych kierunkach, które wymagają opieki prasy; korespondent zatem winien być jakby organem, poruszającym kolejno rozmaite kwestyje życia społecznego danej miejscowości. Ponieważ trudno o człowieka, któryby mógł odpowiedzieć godnie temu zadaniu, pożądanem więc jest, aby w główniejszych miejscowościach (okręgi fabryczne, stołeczne miasta danej prowincyi i t. p.) było po dwóch lub więcej korespondentów specjalistów, a to stosownie do charakteru miejsca.

Korespondencyje winny być nadsyłane w stale określonych terminach stosownie do ważności okolicy, przy czem, dla zachowania porządku, korespondenci jednej i tej samej miejscowości winni się trzymać raz obranego działu. Od warunków terminowości muszą być wyłączone listy etnograficzne i w ogóle z charakterem bardziej naukowym.

W razie wyjazdu zupełnego lub czasowego na czas dłuższy (np. na miesiąc), korespondenci obowiązują się dać zastępcę.

Na korespondencyje zapytrywać się należy nie jak na dodatek *pour la bonne bouche*, lecz równouprawnić je (moralnie) z innymi działami pisma. A ztąd i korespondent winien być otoczony stosowną powagą i opieką pisma.

Redakcyja pisma ze swojej strony winna okazywać mu wszelką pomoc i poparcie. Wszelkie doniesienia z prowincyi od osób trzecich po wydrukowaniu winny być oddane pod aprobatę właściwych współpracowników prowincjonalnych, a to, jak powiedziałem, dla podtrzymania należytej powagi tych ostatnich w oczach czytelników.

Poradnik, ku własnej korzyści pisma, winien zawierać wskazówki, jakie mianowicie kwestyje bardziej są pożądane, jakie zaś należy poruszać w chwilach, że tak powiem, wolnych. (Oczywista, jest to zależnem od charakteru pisma, można wszakże postawić szemat ogólny).

Jestem pewien, że z innych okolic kraju nadejdą, lub może już nadeszły, uwagi o wiele

ciekawsze, sądzę jednak, iż redakcyja *Głosu* zechce uwzględnić i wyżej podane.

Stanisław Wiśnia.

Przegląd społeczny.

Radom. (Kor. „Głosu”). Nie dawno przelałem wam spory wykaz osad włościańskich, wystawionych za sprzedaż za długi, przeważnie jednak za długi, przypadające kasom gminnym zaliczkowo wkładowym, dziś natomiast śpieszę z przesłaniem wam wykazu osad, sprzedawanych za długi prywatne. Oto ten wykaz: 1) we wsi Gnieszowice, gminy Koprzywnica, pow. sandomierskiego, osada rozległości 7 m. 157 pr., za dług 707 rs., wierzyciel chrześcijanin, suma szacunkowa 600 rs.; 2) we wsi Żurawica, gm. Łonów, pow. sandomierskiego, osada rozległości 13 m. 100 pr., za dług 718 rs. wierzyciel żyd, suma szacunkowa 800 rs.; 3) we wsi i gminie Ożarów, pow. opatowskiego, osada 8 m. 177 pr. za dług 339 rs. 60 kop., wierzyciel żyd, suma szacunkowa 500 rs.; 4) we wsi Pędlawice, gm. Górki, pow. sandomierskiego, osada rozległości 10 m. 168 pr. za dług 270 rs., wierzyciele chrześcijanie, suma szacunkowa 600 rs.; 5) we wsi Przepaść, gm. Ćmielów, pow. opatowskiego, osada 6 m. 150 pr., za dług 407 rs. 50 kop., wierzyciele chrześcijanie, suma szacunkowa 850 rs.; 6) w osadzie i gminie Waśniów, pow. opatowski zabudowania i ogród 150 pr., dług 323 rs., wierzyciele chrześcijanie, suma szacunkowa 600 rs.; 7) we wsi Hucisko, gm. Ruda Maleniecka, pow. końskiego, osada rozległości 7 m. 295 1/2 pr., za dług 250 rs., wierzyciel chrześcijanin, suma szacunkowa 450 rs.; 8) w osadzie i gminie Zwoleń, pow. kozienickiego, dom z placem, za dług 478 rs. 84 kop., wierzyciel żyd, sama szacunkowa 1,000 rs.; 9) tamże, dom z placem, za dług 320 rs., wierzyciel żyd, suma szacunkowa 600 rs.; 10) we wsi Łoje, gm. Sieciechów, pow. kozienickiego 8 m. 150 pr., za dług 1562 rs., wierzyciel chrześcijanin, suma szacunkowa 500 rs. *Kom.*

Kielce. (Kor. „Głosu”). W ciągu krótkiego czasu wystawiono znów na sprzedaż za długi prywatne 5 osad włościańskich, a mianowicie: 1) we wsi Karwin, gm. Wierzbno, pow. miechowskiego, osada rozległości 17 m. 271 pr., za dług 582 rs., wierzyciele chrześcijanie, suma szacunkowa 1,800 rs.; 2) we wsi Jaksice, gm. Miechów, pow. miechowskiego, 19 m. rozległości, za dług 391 rs., wierzyciel chrześcijanin, suma szacunkowa 2,500 rs.; 3) w osadzie Jędrzejów, pow. jędrzejowskiego, dom i 138 pr. placu, za dług 210 rs. 50 kop. wierzyciele: chrześcijanin i żyd, suma szacunkowa 4,000 rs.; 4) we wsi Wojsławice, gm. Chroberz, pow. pińczowskiego, rozległości 19 m. 200 pr., za dług 631 rs. 20 kop., wierzyciel chrześcijanin, suma szacunkowa 10,400 rs.; 5) we wsi Posłowie, gm. Dyminy, pow. kieleckiego, rozległości 10 m. 243 pr., za dług żyła, suma szacunkowa 1,050 rs. Na osadzie, wykazanej przeze mnie pod 4), ciąży dług 631 rs. 20 kop., który powstał z następujących sum kolejno pożyczonych od jednego z włościan: 155 rs., 150 rs. 60 kop.,—123 rs.—80 rs.,—79 rs.,—25 rs.,—13 rs. 50 kop.,—5 rs. 10 kop. W każdej z tych sum wliczone zostały i procenty. *Zygmunt.*

Łomża. (Kor. „Głosu”). Dla scharakteryzowania cytelnictwa, a tem samym rozwoju umysłowego mieszkańców naszego miasta i jego okolic, wymienię czytelnikom *Głosu* ilość i jakość pokarmu duchowego, jaki za pośrednictwem miejscowej księgarni lub też bezpośrednio z poczty, w postaci pism i gazet, otrzymujemy. Pism polskich do nas przychodzi 50 w 593 egzemplarzach, z tych na codzienne przypada 183 egzemplarze, reszta na pisma tygodniowe i peryjodyczne. Z pism codziennych największem powodzeniem cieszy się *Kuryjer warszawski*, przychodzi bowiem w 74 egzemplarzach, dalej *Kuryjer codzienny*—27 egz., *Dziennik dla wszystkich*—18, *Słowo*—15, *Wiek*—13, *Gazeta polska*—12, *Gazeta warszawska* 11, *Ziarno*—8, *Gazeta handlowa*—3 i *Kuryjer poranny*—2. Pisma tygodniowe i peryjodyczne przychodzą w następującej ilości: *Tygodnik mąd i powieści*—48 egz., *Biesiada literacka*—41, *Bluszcz* 40, *Tygodnik illustrowany*—39, *Gazeta świąteczna*—23, *Przyjaciel dzieci*—23, *Wędrowiec*—20, *Przegląd katolicki*—20, *Prawda*—15, *Przegląd tygodniowy*—13, *Rola*—12, *Wieczory rodzinne*—11, *Misyje katolickie*—9, *Przegląd pedagogiczny* i *Gazeta sądowa* po 7 egz., *Głos*, *Gazeta rolnicza*, *Gazeta lekarska*, *Echo muzyczne* i *teatralne* i *Mucha* po 6 egz., *Wszelchwiat* i *Romans* i *powieści* po 5 egz., *Tygodnik romansów i powieści*, *Kuryjer rolniczy*, *Kuryjer świąteczny*, *Kolce*, *Kraj* i *Gazeta losowań* po 4 egz., *Życie*—3 egz., *Zdrowie*, *Ateneum*, *Przegląd techniczny* i *Ogrodnik polski* po 2 egz., *Gazeta rzemieślnicza*, *Kronika rodzinna*, *Muzyka kościelna*, *Pamiętnik towarzy-*

stwa lekarskiego, *Wiadomości farmaceutyczne*, *Zorza* i *Medycyna* po jednym egzemplarzu. Pism ruskich do Łomży przychodzi 70 w 431 egzemplarzach, z tych *Świat* w 78 egz. *Dosug* i *dielo* w 50 egz., *Niwa* w 30 egz., *Nowoje wremia* w 25 egz., *Żywopismoje obozrenije* w 18 egz., a reszta mniej niż w 10 egzempl. Z wyżej przytoczonych danych łatwo zauważyć, że na czele pism polskich tygodniowych stoją takie, które mają za przedmiot modę i stroje, co dowodzi, że i na prowincyi bacznie sledzimy za postępem w tym kierunku i do niego staramy się ściśle zastosować, często nawet ze szkodą dla własnej kieszeni, dla rodziny, a nawet i dla sumienia; natomiast uderza nas nadzwyczaj małą ilość pism specjalnych, u nas otrzymywanych. A mamy przecież bardzo wielu rzemieślników, umiających czytać i pisać, mamy adwokatów, lekarzy, aptekarzy, jednym słowem mamy bardzo wielu specjalistów, którzy dla korzyści własnej i ogółu powinni by uzupełniać posiadane już wiadomości najnowszymi z dziedziny ich faktu lub specjalności. Taką małą liczbą pism specjalnych, otrzymywanych u nas, objaśnił się da tylko w ten sposób, że nasi rzemieślnicy i specjaliści nie mają czasu na ich czytanie, lub też uważają to za zbyteczne. Drugie przypuszczenie prawdopodobniejsze, zarazem wcale nie pocieszające. *Alf.*

Łódź. (Kor. „Głosu”). W fabryce rękawiczej niemieckich Winklera i Gärtnera obniżono płacę hafciarkom, a w krótkce mają obniżyć i innym robotnikom. — W browarze towarzystwa akcyjnego K. Anstadta przed kilku miesiącami spadł z windy robotnik, przyczem złamał nogę i skaleczył się w oko. Dyrektor towarzystwa p. Z. Anstadt został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej za nieprzedsiewzięcie środków, zapobiegających nieszczęśliwemu wypadkowi. Sędzia pokoju w tych dniach uznał p. A. winnym, motywując swój wyrok tem, że na windzie, która była urządzona do przewożenia i wiozania gruzu, kamieni i t. p., jeździli ludzie, a chociaż p. A. zabronił tego, nie postawił jednak przy windzie dozorcę, który pilnowałby wykonywania tego rozporządzenia. P. A. założył apelacyję od tego wyroku. *Procownik.*

Bzin. (Kor. „Głosu”). Jakkolwiek droga Dąbrowska, liczy zaledwie rok szesty swej egzystencji, jednak, trzeba to przyznać, pod względem ruchu i dochodów z każdym dniem wzrasta i na zabój konkuruje z sąsiadkami, które, pomimo pozornej przyjaźni i solidarności, powodowanej konwencyją dróg żelaznych, poczynają lży ronić i narzekać na politykę młodej sąsiadki. Węgiel kamienny z kopalni „Paryż”, „Kazimierz” i wielu innych, który dawniej wielkimi transportami przechodził do Cesarstwa drogą Wiedeńską, coraz częściej idzie teraz na drogę Dąbrowską. Do najwięcej ruchliwych i złotodajnych stacyj na drodze Dąbrowskiej, należą: Ostrowiec, Radom, Kielce, Miechów, Jędrzejów, Opoczno, Kunów, Końskie, Nieklan i Jastrząb—te bowiem wysyłają zboże, drzewo budulec za granicę, żelazo w surowcu i różnych odlewach modelowych do Cesarstwa, oraz kamień piaskowy i inne transporty do różnych miejscowości w Królestwie; reszta stacyj ozerpie dochody przeważnie z ładunków i wyładunków w drobnych partjach. Stacyj przeładunkowe są: Sosnowiec, Granica, Bzin, Koluszki i Iwangród (towarowy)—Droga Dąbrowska, wstępują w ślady Nadwiślańskiej, już od lat paru choruje na... chroniczną oszczędność, dotyczącą nie tylko pensyi, ale nawet oświetlenia stacyj, uniformów i materyjałów, potrzebnych do utrzymania porządku.—Febra oszczędnościwa dochodzi do tego stopnia, że jeśli która stacyja, wykaże rozchodu więcej 20 f. nafty lub oliwy, albo też 1/1000 sążnia drzewa opałowego *nad normę*, musi tłumaczyć się i prowadzić korespondencyje, częstokroć kilka miesięcy trwające.—Oto inny fakt: stosownie do instrukcyi i okólnika dyrektora z roku zeszłego, przypadał nam 75% sumy oszczędzonej na przeładunku towarów w r. b. Odnośne wykazy za pierwsze półrocze przedstawione były do zarządu w końcu czerwca r. b., w których projektowano podział sum między robotników i urzędników. Jak chodzą pogłoski, rada zarządzająca w Warszawie podobno teraz odmawia przyznania tych procentów, i chce nimi pokryć jakieś inne wydatki. Ucieka więc przed nami perspektywa drobnego choć uciążliwego zarobku, nie tracimy nadziei, że skoro zarząd obiecywał—z pewnością nie zechce się kompromitować i czy wcześniej czy później wypłaci tak solennie obiecanę nam procenty.

Tygrys.

Gombin. (Kor. „Głosu”). Gombin jest mięsciną nawskroś żydowską z nieodłącznymi podobnym miasteczkom brudami i nędzą materyjalną i moralną. Mieszkańców liczy przeszło 6,000, z których 2/3 stanowią żydzi. Polacy trudnią się rolnictwem i rzemiosłami, żydzi—przeważnie handlem, niektórzy zaś zajmują się rzemiosłami i lichwą. O stanie umysłowym naszego miasta niewiele dobrego da się powiedzieć. Mieszczanie, choć już w większej części piśmienni, oprócz książek do nabożeństwa żadnych innych nie znają. Czterech jest tylko takich, którzy prenumerują i czytają *Gazetę świąteczną*, inni zaś czas

wolny od pracy wola spędzać przy kufku, a pieniądze, zamiast na książki lub pisma, wydawać na to, co, według przysłowia, „dobre na frasunek.” A duży tu znalazło się takich, którzy i umysłowo są uzdolnieni i materialnie tak stoją, że kilka rubli rocznie na książki lub pisma poświęcićby mogli. Miarką zapatrywać się naszych mieszczan na książki i wogóle na naukę może być obojętność ich na sprawę początkowego nauczania dzieci. W mieście istnieją 3 szkoły początkowe: jedna dla ewangelików, ogólna i dwie dla reszty mieszkańców, czyli inaczej każda szkółka z ostatnich dwóch przypada na 3,000 ludności. Obie te ostatnie szkoły mieszczą w domach najętych i pomieścić tylko mogą po 50 do 60 dzieci. Skutkiem tego najmniej 60 do 100 dzieci, chcących chodzić do szkoły, nie może korzystać z nauki. Od lat kilku już władza szkolna pobudza i nawołuje stowarzyszonych do postawienia oddzielnego budynku na szkołę, odpowiedniego do wymagań higienicznych i warunków miejscowych, i... wszystko napróżono. Uplynie jeszcze lat kilka, myśl o budowaniu domu nie wyjdzie ze sfery projektów, a 60 przeszło biednym dzieciom corocznie drzwi szkoły nie będą otwarte. Inteligencja nasza—jak zwykle w małym miasteczku, oddalonem od większego ogniska ruchu umysłowego. Kilka pism codziennych i tygodniowych, kilka powieści z francuzkiego lub angielskiego, kilka Kraszewskiego — oto cała jej strawa umysłowa. Życie towarzyskie prawie wcale u nas nie istnieje. Każda rodzina żyje osobno, zdaleka od innych, czasami tylko składają sobie etykietałne wizyty— na tem koniec. Natomiast bardzo już u nas rozwinęła się, a nawet, można powiedzieć, kwitnie... plotkarstwo, ta plaga małomiasteczkowa, któremu oddają się, niestety! nie tylko kobiety, ale i mężczyźni. Zaznaczyć jeszcze muszę ilość pism polskich codziennych i tygodniowych, przychodzących do Gombina przez pocztę miejscową. Ogółem otrzymujemy 55 egzemplarzy. Z tej liczby na gazety i kuryjery przypada 29 egzemplarzy. Liczebny stosunek tygodniowych taki: *Bluszcz* 1, *Biesiada literacka* 2, *Gazeta świąteczna* 7, *Głos* 1, *Kraj* 1, *Kronika lekarska* 1, *Medycyna* 1, *Prawda* 1, *Przegląd katolicki* 3, *Przegląd pedagogiczny* 1, *Tygodnik ilustrowany* 3, *Tygodnik mód* 3, *Tygodnik Romasów* i powieści 1. Wyłącznie na Gombin przypada kuryjerów i gazet 16 egzemplarzy i pism tygodniowych 11 egzemplarzy.

Władysław Skok.

L pow. węgrowskiego. (Kor. „Głosu”). W m. Węgrowie praktykuje stale trzech lekarzy. Z tych jeden jest żydem. Bardzo ciekawem jest zaobcowanie się względem niego współwyznawców. Żydzi nie zbyt wiele mają przekonania do tego świeżo upieczzonego stróża zdrowia, lecz obowiązkiem i solidarności nakazują go popierać. Zawiązała się też tam prawdziwa spółka faktorska, która rozesała swych agentów pod bramy domów, zamieszkałych przez dwóch drugich doktorów, polaków. Gdy zjawi się ktoś ze wsi po którego z ostatnich, faktory oznajmijają, że tu żaden doktor już nie mieszka, a radzą usilnie i ciągną do swego protegowanego—żyda. Tak np. furman, wysłany od jednego z okolicznych ziemian, został w ten sposób obalamucony i przywiózł ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich owego nieproszonego eskulapa. Pan ten, pomimo bardzo szczupłej wiedzy i praktyki, każe sobie płacić dosyć słono. Za przyjechanie np. do biednego gospodarza o 10 wiorst od Węgrowska zażądał rs. 10. — Przed trzema miesiącami zdarzył tu się następujący wypadek. Rządca pewnego większego majątku, położonego na szosie między Łochowem a Węgrowem, zbalamucił młodą żydówkę, wnuczkę pachciarza, zajmującą się syciem bielizny. W końcu udało mu się ją namówić do przyjęcia chrztu. Neofitka była ukryta jakiś czas w Warszawie. Gdy jednak rodzina zaczęła wpadać na ślad wyrodnej, ta ostatnia odwołała się o pomoc do swego apostoła. Ten nie czuł się w obowiązku nadal pomyśleć o świeżo nawróconej i wszelkiej pomocy i interwencji w tej sprawie odmówił. Wyrodną córkę udało się rodzicom porwać z Warszawy i ukryć w jednym z mniejszych miasteczek gub. Grodzieńskiej. Nieszczęśliwa poniosła już zapewne ciężką karę za odszczepieństwo, apostoł zaś drży, by nie został ukamienowany. *Józef Ł.*

Ciechanów. Do *Gazety warszawskiej* donoszą, że ruch emigracyjny do Ameryki coraz bardziej wzrasta w okolicach Ciechanowa, porываяc mnóstwo włościan i rzemieślników. Niema wsi, któraby nie posiadała bywalców z po za Atlantyku. Zamożni włościanie, posiadający nawet parę włók dziedzictwa, pozostawiają na roli żony, krewnych lub dzierżawców, sami zaś udają się za Ocean. Rzemieślnicy zwijają warszaty, parobcy sprzedają krowy, trzodę, oraz wszystko, co zbyć mogą i poruczając rodzinę opiece krewnych, odjeżdżają. Zdarza się, że wychodźcy uadysylają kiedy niekiedy pozostałym w kraju rodzinom zasiłki pieniężne, a nawet po kilku latach powracają z pewnymi zasobami. Niekiedy przysyłają rodzinom karty okrętowe, ze zleceniem wyprzedania wszystkiego i przesiedlenia się do Ameryki. Najczęściej atoli, zwłaszcza gdy fundusze nie pozwalają na dalszą podróż,

aniżeli do pierwszego portu Stanów Zjednoczonych, emigrantom, którzy pracę znajdują przeważnie na dalszym zachodzie, grozi widmo głodu. W ostatnich czasach ruch emigracyjny doznał poniekąd sparaliżowania wskutek wyższości kursu rubla. Przynajmniej niektórzy wychodźcy przestali rodzinom nadsyłać znaczniejsze datki pieniężne, motywując postępowanie swoje wspomnianym objawem giełdowym. Pomimo to wszędzie widać szczyrby, czynione przez emigrację. Wsie: Grzybów, Szczepkowo, Dobrsk, Sobocin, Baranek, Kondrajec Pański, Zdunówko, Raciąż, Gumowo, Dramin, Murowanki, Rydzyno, Jezewo i bardzo wiele innych straciły znaczny procent ludności. Koloniści niemieccy również wynoszą się tłumnie do Ameryki. Niektóre kolonije, jak np. Łaszewo, wyludniły się prawie.

Tomaszów rawski. Korespondent *Dzienia Łódzkiego* pisze, że wychodźstwo do Brazylii porobiło znaczne spustoszenia wśród ludności Tomaszowa. Zwykle niewielki w tej porze roku ruch na ulicach ustał prawie zupełnie, a liczba pustych mieszkań wzrasta. Właściciele domów, zatrudnieni brakiem lokatorów, starają się powstrzymać emigrację. Pracują nad tem i władze, oraz duchowieństwo, Emigrują robotnicy fabryczni i rzemieślnicy. Robotnikom, pozostającym w mieście, wychodźstwo to daje się we znaki. Podejrzewani o zamiar emigracji utracili kredyt po sklepach i mogą nabywać tylko za gotówkę, gdyż wielu wychodźców, nabrawszy sporo towarów, wyniosło się cichaczem. Jeden ze sklepikarzy, utraciwszy w ten sposób cały swój majątek, powiesił się.

Z CESARSTWA.

Petersburg. (Kor. „Głosu”). Komisja wykształcenia technicznego zamierza urządzić peryjodyczne konkursy na popularne broszurki techniczne, przeznaczone dla rzemieślników i majstrów. — Nowe programy gimnazjalne wraz z objaśniającymi uwagami, wyszły z druku, zawierają one wyjaśnienia projektu ministerjalnego, który, jak wiadomo, wchodzi w życie. Klasyczne języki pozostają głównym przedmiotem szkolnym, zmniejsza się jednak kurs gramatyki, rozszerza się zaś czytanie klasyków. Wykład języka rosyjskiego rozszerza się i większą uwagę zwraca się na gramatykę. Historia literatury rosyjskiej znika zupełnie z programów, jako przedmiot osobny. Zaznajamianie się z utworami literatury dawnej i nowej, do Gogola włącznie, wraz ze stylistycznymi i biograficznymi wyjaśnieniami—oto plan zajęć z języka rosyjskiego w kl. 6—7. Teoryja literatury wykładaną będzie w kl. 8. Kurs fizyki powiększa się w dziale elektryczności i dodaje się nauka o energii. Historia rosyjska w połączeniu z powszechną również rozszerzona, kończy się panowaniem Aleksandra II.—Petersburska дума położyła wielkie zasługi w sprawie rozwoju szkolnictwa ludowego. Otrzymawszy z rąk państwa w 1877 r. 16 szkół, ma ich obecnie 259 z 12,760 uczniów. W r. b. дума otworzyć zamierza jeszcze 17 szkół, jakkolwiek dotąd nie nadchodzi oczekiwane pozwolenie. Wydatki na ten cel w r. z. wyniosły 535,451 rs. Moskwa znacznie pod tym względem ustępuje nowej stolicy. Ma ona 81 szkół dziennych z 9,903 uczniami i 15 wieczornych z 1,021 uczniów, wydała zaś w r. z. 308,149 rs. — Znakomity chemik Mendelejew obchodzi 35-letni jubileusz swej służby profesorskiej. W bieżącym roku akademickim pr. M. ma wykladać chemię w instytucie inżynierów komunikacji. — W d. 28 sierpnia w nocy Petersburg został zalany przez wody Newy, powódź o do rozmiarów ustępuje tylko słynnej powodzi z r. 1824. — Minister finansów wyjechał do posiadłości rosyjskich w Azji środkowej. W Niżnim-Nowgorodzie kupiecwo wydało obiad na cześć ministra, podczas którego wyrażało nadzieję, iż podróz ministra ożywi handel ze wschodem i dziękowało za opiekę nad przemysłem, która w ostatnich dniach wyraziła się nowem podwyższeniem cel o 20—40%.

Wilno. Czytamy w *Wileńskim wiestniku*, że idea kolonizacji Palestyny przez żydów zaczyna w Wilnie zyskiwać coraz więcej zwolenników, dzięki konferencyjom, jakie tam miał niedawno jeden z propagatorów tej idei, W Wilnie utworzyło się kółko z 20 osób, które drogą 500 rs. wkładów złożyło 10,000 rs. i za nie postanowiło nabyć w Palestynie kawał ziemi. Kółko wysłało ze swego grona dwie osoby na miejsce, celem zbadania warunków kupna i widoków przyszłego powodzenia. Delegaci, w razie znalezienia korzystnego gruntu, mają prawo zaraz zakupić ziemię. Przed wyjazdem wstępują oni do Białogostoku, celem otrzymania wskazówek od rabina miejscowego, który niedawno zwiedził osobiście kolonije rolnicze żydowskie w Palestynie. Od siebie dodajemy, że podobne wieści dochodzą i z innych miejscowości.

Kowno. Czytamy w *Wileńskim wiestniku*, że niedawno w lesie obywatela Wrockiego, położonym w majątku Jurgianowo, w gminie Stołwień, w nocy leśniczy Wincenty Rynkiewicz usłyszał stuk topora. Domyśliwszy się, że ktoś nieprawie rąbie drzewo w lesie, posłał syna swego Józefa na poszukiwanie winnych, a sam udał się do wsi po pomoc. Józef znalazł wkrótce dwóch włościan

z tej że wsi, a mianowicie: Hryszczenkę i Wesełowa, rąbiących drzewo z pomocą swych parobków. Kazał im zaprzestać rąbania, lecz ci zamierzali się na niego toporami. Wówczas Józef R. strzelił, lecz chybił, włościanie zaś schwycili go i z pewnością byłoby z nim źle, gdyby nie pomoc, która pojawiła się w osobie starego R. z drugim synem Janem i pomocnikiem Howejką. Jan R. i Howejko wystrzelili, jednakże chybili, dzięki czemu odeszło się bez ofiar. Podobne wypadki trafiają się tu bardzo często.—W *Kowieńskich gubernskich wiadomościach* czytamy: „Jakośmy już donosili, żydzi dotąd do Brazylii nie przesiedlali się. Ruch emigracyjny w tym kierunku zaczął się wśród nich szerzyć dopiero przed kilku miesiącami, wzrastając coraz szerzej. Rodziny żydowskie, pragnące emigrować do Brazylii, obierają sobie przewodnika i o swym zamiarze donoszą piśmiennie do biura północnoniemieckiego Lloyd'a w Bremie. Po upływie dni kilku każda rodzina dostaje bilet na przejazd, na którym się wypisują imiona i nazwiska osób, należących do niej, oraz wiek każdej z nich. Jednocześnie przewodnik otrzymuje przepisy oraz warunki, do jakich wychodźcy bezwarunkowo stosować się winni. Po otrzymaniu takich biletów emigranci mają prawo przyjechać na parostatku do Bremy do Santos. Podróżni powinni się zgłosić do biura Lloyd'a w Bremie przynajmniej na jeden dzień przed swym wyjazdem. Parostatek skierowuje się na Lizbonę, gdzie się zatrzymuje 3 dni dla zaopatrzenia się w żywność i inne rzeczy, niezbędne podczas długotrwałej podróży przez ocean atlantycki. Jeśli na drodze tej nie spotyka żadnych przeszkód, to przejazd z Europy do Brazylii trwa 3 tygodnie. Z Bremy odchodzi parostatki do Brazylii co 2 miesiące. Emigranci wyruszyli w tym roku 16-go lipca. Na granicy pruskiej wychodźcy usiłują zwykle przedostać się przez kordon potajemnie, co nie zawsze im się udaje, gdyż wyruszają zwykle dużymi partjami, które strażę pograniczną łatwo mogą zauważyć; wówczas tylko udaje się emigrantom przejść nieopozostawienie przez granicę, gdy czynią to pojedynczo. Złapani w chwili przechodzenia granicy, są odsyłani etapem do Kowna, a następnie do miejsc stałego zamieszkania, gdzie ich czeka wielka nędza: wszystko dawno już wyprzedali dla otrzymania środków na emigrację, gotówkę, jaką mieli, wyczerpali. Zresztą należy zaznaczyć, że żydom udawało się zawsze potajemnie przejść granicę, nader rzadko ich łapano.”

Lida. Korespondent *Wileńskiego wiestnika* donosi, że w lidzkiej fabryce tabaczej Papiermeistra i sp. praca idzie dzień i noc bez przerwy, z wyjątkiem sobót i wszystkich świąt żydowskich. W niedziele i święta chrześcijańskie robotnicy chrześcijanki muszą pracować, jak gdyby był to dzień powszedni.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu”). W kwietniu b. r. ustanowione zostały posady wiceprezydentów rad szkolnych we Lwowie, Wiedniu i Pradze. Tem samem i Galicyja zyskała miała nowego, faktycznego kierownika spraw szkolnych, gdyż prezydent najwyższej władzy oświecenia publicznego w kraju—namiestnik, dla wielu różnorodnych zajęć, nie mógł dotąd z natury rzeczy otażać szkolnictwa taką opieką, na jaką ono zasługuje. Za patentem cesarskim, stanowiącym posadę, obecnie nadeszła nominacja, od półtora miesiąca z okładem już przewidywana. Nad szkołą i wychowaniem młodzieży galicyjskiej ożwać będzie nie kto inny, jak dr. *Muchał Bobrzyński*, profesor, polityk, historyk — w jednej ambitnej osobie. P. Bobrzyńskiemu zawsze uśmiechała się teczka ministra, do tego celu dążył, w tym kierunku—trzeba przyznać—pracował, politykował i zasługiwał się. O tekę ministra austriackiego oczywiście trudno, zdecydował się więc, acz po długim namyśle, przyjąć małą teczkę specjalnie galicyjskiego ministra oświaty, którą mu wśród radośnego pienia stanczyków kilka dni temu wręczono. Autor „Dziejów Polski w zarysie” jest, jak wiadomo, wybitnym, może najzdolniejszym członkiem zachowawczego obozu; posługując na sejm i do rady państwa, głosował oczywiście z prawicą, a więc — co nas w tej chwili obchodzi—oświadczał się również za szkołą wyznaniową. Wprawdzie raz jeden, w broszurze swej pt.: „Z chwili rozstroju” zmieniował trochę p. Tarnowskiego za zbyt „pesymistyczne” poglądy na „demagogiję” przeciwnego obozu, ale to zaliczyć raczej wypadka na rachunek koleżeńskiego... nieporozumienia, niż opozycyjnych podrygów. Wykładał wprawdzie dobrze, lecz niewiele, bo mu na to obowiązki względem sejmu i parlamentu nie pozwalały, a tym podporządkowując zwykły prace nauczycielskie. Oto sylwetka p. Bobrzyńskiego. Nie widzę potrzeby apodyktycznie odsądzać p. B. na jego nowem stanowisku od dobrej chęci służenia krajowi, ale chyba samo faktyczne ustawienie dotychczasowych etapów działalności, sam bilans ten wypadnie w stosunku do wiceprezdyntury rady szkolnej niekorzystnie. Posada ta wymaga przedewszystkiem gruntownego obznajmienia się z potrzebami szkolnictwa w

kraju, z jego brakami i niedostatkami, znużonej pracy o-koło wyplenienia kielkującego jeszcze w radzie szkolnej biurokratyzmu i systemu protekcyjnego, większej opieki nad stanem nauczycielskim, a obok faktycznych wiadomości szerszego, a nie zaściankowego poglądu na sprawy oświaty i edukacji publicznej, oraz liczenia się z warunkami czasu i uosobieniami młodzieży. Czy p. B. potrafi wznieść się na stanowisko przedmiotowe, czy stanie po nad stronnictwami i będzie pracował dla szkoły i kraju, a nie dla przypodobania się wyższym sferom — przyszłość niedaleka pokaże. Dziś przyznać musimy — kraj o tem wątpli, i z upragnieniem czeka rezultatów pracy nowego kierownika oświaty. — Natomiast nikt nie wątpli, że biskup tarnowski ks. Łobos, zachwalając w kurendzie swej do duobowieństwa jedynie „Czas” i lwowski „Prze-
gląd”, jako pisma „możliwie katolickie” i godne prenumerowania, postąpił niewłaściwie i nadużył powagi kościoła, który nie powinien mieszać się do lektury księży. Fakt to charakterystyczny. Biskup za pomocą kurendy i z ambony reklamuje pismo garstki stańczyków i znienawidzony organ bankierskich operacji, potępiając tem samem całą prasę, nie hołdującą ani magnackim, ani laenderbankowskim interesom. Pańsko-grynderską strawą nakazuje biskup karmić się swym „odwładnym dla tego jedynie, że przyprowadza jest sosem katolickim, a inne dzienniki, (nigdy przeciw kościołowi, jako takiemu nie występujące, co najwyżej nie dopuszczające jego wpływu na politykę) wpisuje na indeks. „N. Reforma” ogłosiła dwa artykuły pt.: „Zapędy klerykalne”, ale już drugi nie doznał sympatycznego przyjęcia u prokuratora, za co też pismo uległo konfiskacie. — Wobec jalowej i bezpożytecznej działalności tow. rolniczych w Galicyi podniesiono już rok temu myśl utworzenia w kraju t. z. izb rolniczych, któreby w dzisiejszym ciężkim stanie rolnictwa, reprezentowały jego interesy, analogicznie do izb handlowych. Tydzień temu odbyła się tu ankieta, stananiem krak. towarzystwa rolniczego, która uchwaliła żądać od sejmu utworzenia takich instytucyj jedynie dla Galicyi, pominać zaś na razie ich organizację państwową. — W jednym z pism warszawskich wyczytałem dziś telegraficzną wiadomość o przejściu antreprzyży teatru krakowskiego w ręce Krzysztofa hr. Mieroszewskiego. Informacja ta jest jak dotąd przedwczesną. Rzeczywiście pomiędzy p. Gliksonem a hr. Mieroszewskim, bratem b. posła, toczą się rokowania, które prawdopodobnie uwieńczone zostaną pomyslnym skutkiem, do tej chwili jednak, jak się z wiarogodnego źródła dowiaduję, nie stanowczego w tej sprawie powiedzień nie można. Hr. M. ofiaruje p. Gliksonowi za przedsięwzięcie 20,000 fl. — Sezon jesienny teatru krak. rozpoczyna się dziś „Nowym dziennikiem” Bałuckiego, w którym gościnnie wystąpi p. W. Rapacki. *Voz.*

P. S. Konkurs teatralny im. Wołodkowicza przedłużony został do r. 1891.

L w ó w. (Kor. „Głosu”). Galicyjski wydział krajowy, choć jest najwyższą władzą autonomizacyjną, traci zupełnie kuraz wobec Wiednia. Kazano mu przygotować program prac sejmowych na dzień 20 września — zgodził się. Teraz, gdy oznajmiamy mu, że z powodu przesilenia marszałkowskiego przed 5 października parlament nasz się nie zbierze — on i to z radością przyjmuje, jakby się cieszył, że wogóle na zwolnienie sejmu pozwalają. Kraj jednak na odroczeniu sejmu do 5 października cierpi, bo większa część ważnych spraw z powodu krótkiego czasu obrad nie wejdzie na porządek dzienny. A jest ich garstka niemała. Obok kwestyi uregulowania długu indemnizacyjnego mają być rozpatrywane: projekt ustawy o służbie zdrowia w gminach, ustawa dla zdrojowisk krajowych, ustawa o używaniu dróg publicznych na koleje lokalne, reforma ustawy drogowej, ustawa wyborcza dla 30 miast i t. d. Namiestnik udaje się 6 września do Wiednia, gdzie też w tym czasie podpisana zostanie przez cesarza nominacja ks. Eustachego Sanguszki na marszałka krajowego. — Istniejące już z górami lat 20 ruskie tow. oświaty ludowej: „Proświta” odbyło w dniu 28 z. m. walne zgromadzenie w Kołomyi. Zagaił je prezes wydziału prof. Ogonowski. W czasie przemówienia sędziwego profesora stała się rzecz ciekawa, dobrze charakteryzująca nasze stosunki. Oto zjawił się praktykant namiestnictwa, który wezwał profesora Ogonowskiego do rozwiązania zgromadzenia, gdyż c. k. starostwo kołomyjskie nie otrzymało we właściwym czasie zawiadomienia. Gdy prof. Ogonowski doniósł zebraniem, iż dwa tygodnie temu w liście rekomendowanym przesłał urzędowe zawiadomienie do starostwa, rozległy się po sali okrzyki: „Sumno!” Rozgoryczonych uspokoił posłowie: Sawczuk i Okuniewski, którzy też wyjednali u zastępcy starosty pozwolenie na dalszy ciąg zgromadzenia. Z obrad zebrania uwagi godnym jest wniosek p. Kolessy, który zaprojektował zmianę statutu „Proświty” w tym kierunku, aby towarzystwo, obok pomocy materialnej i literackiej, dawało swym członkom i pomoc moralną, jak „Kółka rolnicze.” Wniosek ten jednak nie znalazł poparcia. — Z Borysławia donoszą o strasznym wypadku, który, na szczęście, nie

pociągnął za sobą śmierci ludzi. W tamtejszych kopalniach wosku ziemnego, dzierzawionych przez jakiegoś Liebermana, pękł nagle kocioł maszyny parowej, pędzącej winę. W jednej chwili wszystkie budynki, nasiąknięte tłuszczem naftowym, stanęły w płomieniach, a w szybach nastąpiła eksplozja gazów. Pod ziemią pracowało 80 ludzi, których wydobyto przy życiu, lecz silnie pokaleczonych. *Lambda.*

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Poprzednio już na tem samem miejscu zaznaczyliśmy, że powracająca fala demokratyzmu europejskiego podmywać zaczyna tak silną nawet wsteczniczą opokę, jaką jest monarchija Habsburska, a w niej prym pod tym względem trzymające zjednoczone królestwa Galicyi i Lodomeryi, wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem.

Zarówno ostateczny upadek ekonomiczny tej, tak pompatycznie przezwaney prowincyi, jako też krańcowe znikczemnienie rządzącego w niej stronnictwa — jasno wskazywały, że przez lat dwadzieścia z okładem praktykowane „stanie”, mimo szczerych chęci trwać dalej nie może i skończyć się musi przecież jakimś poruszeniem.

Ponieważ ruch wstecz w tym klasycznym kraju hrabiów i jezuitów nie dał by się już nawet pomyśleć — można przeto oczekiwać usiłowań w kierunku, wskazywanym rozwojem społeczeństw europejskich wogóle i potrzebami ludności miejscowej w szczególności.

W usiłowaniach tych oczywiście udziału przyjąć nie mogą żywioty, z których składa się dotychczas rządzące stronnictwo. Jeżeli do niedawna jeszcze posiadało ono jakiś określony program polityczny, przeprowadzony przez ludzi częstokroć zdolnych, czasem uczciwych i jakiś zmysł organizacyjny posiadających, to obecnie przedstawia ono klikę, złożoną z tuzinkowych karyjerowiczów, powtarzających oklepane frazesy, a myślących jedynie o upiecznieniu swej własnej pieczeni przy ogniu dobra publicznego.

Obecnie program stańczyków polega jedynie na tem, aby nie dopuścić do żadnych zmian, zarówno na zewnątrz, jak na wewnątrz, wszelkie bowiem zmiany grożą, jak to dobrze czują, upadkiem ich wpływu i znaczenia.

Tak więc rozwój przemysłu i handlu przyczynia się do wzmocnienia potęgi żywiołu mieszczańskiego, pragnącego wyrwać stańczykom monopol rządów — staraniem przeto tych ostatnich jest rozwój ten wszelkimi siłami tamować; dobrobyt i oświata ludu wiejskiego także grożą osłabieniem wpływów kliky — staraniem przeto takowej musi być utrzymywanie mas ludowych w nędzy i ciemności.

Wszelako mimo wysiłków w tym kierunku, postęp społeczny choć krokiem bardzo powolnym, jednakowoż szedł nieustannie i sprawił wreszcie, że wytworzyły się żywioły, jeżeli nie dość liczne i uświadomione, aby ster rządów w ręce swe uchwycić, to w każdym razie dość potężne, aby dotychczasowej gospodarce kliky potężny postawić opór.

Zadanie to ułatwia jeszcze ta okoliczność, że zarówno społeczeństwo, jako też i rząd centralny poznały się na patryjotyzmie stańczykow-kim i nie dają się już obalamować względami „szerszej polityki.”

Szczególniej rząd wiedeński przekonał się, że na swych stańczyków liczyć może o tyle, o ile posiada do rozdania ordery, godności i synekury, że w chwili próby gotowi są oni bez wahania zdradzić dynastyję i swą ojczyznę, byle uratować swe stanowiska i majątki. Rząd austrijski miał już nawet kilka dowodów, dość wyraźnie malujących dwulicowość stańczyków, ich niewiarę w tą nawet potęgę, której służą i oglądanie się ustawiczne na stronę.

Niedojrzałość i brak wyrobienia politycznego w stronnictwie postępowem nie pozwalała rządowi oprzeć się na niem, trzeba było przeto stworzyć stronnictwo z żywiołów pośrednich, które łączyłyby doświadczenie i takt polityczny z szerokością widnokręgów, uznawaniem konieczności pewnych reform, oraz posiadałyby pewną wartość moralną.

Obecny namiestnik, hr. Badeni pracuje nad stworzeniem takiego właśnie stronnictwa, którego przyszły program z wielką umiejętnością formuluje stopniowo.

W skład tego nowego stronnictwa wejdą zapewne wszyscy ci magnaci galicyjscy, którym uprzykrzyło się poświęcanie swej kieszeni i wpływów dla promowania swych oficyjalistów — a którzy sami są zbyt bogaci i potężni, aby cośkolwiek zyskać mogli. Tak więc młody hr. Potocki, ledwo z trudnością dał się namówić do udzielenia nadal subwencyi osławionemu „Czasowi”, widoczną jest jednak rzeczą, że losy tego pisma, jako też i grupującego się około niego stronnictwa mało mu leżą na sercu.

Dalej myśli p. namiestnik zgrupować na około siebie lepszą część szlachty, żywioły urzędnicze, oraz część inteligencyi.

Otóż dymisyja marszałka hr. Tarnowskiego jest pono dowodem nieprzyjaznego względem stańczyków zwrotu

wśród sfer najwyższych, reprezentowanych przez osobę hr. Badeniego. Jest to cios, wymierzony przeciw stańczykom ze strony, z której najmniej tego oczekiwali mogli.

Na miejsce hr. Tarnowskiego wstąpi ks. Sanguszko, człowiek przekonany umiarkowanych, a w każdym razie nie zaliczający się do klik.

Jakkolwiek nowo wyłaniający się kierunek w ludziach prawdziwie przenikniętych ideami postępu i demokratyzmu — bynajmniej nie jest w stanie budzić zachwytu, to jednak w porównaniu do stronnictwa krakowskiego, robi on wrażenie dodatnie — zawiera bowiem w sobie te pierwiastki postępu, jakie duch czasu jest w stanie wywalczyć na żywiołach z natury swej wstecznych.

KRONIKA LITERACKA.

Ustawy o banku włościańskim w zastosowaniu do Królestwa Polskiego z dodaniem uzupełniających związkowych przepisów, instrukcyj i wzorów. Tekst rosyjski i przekład polski p. L. Gren-dyżynskiego. Petersburg 1890.

Wobec tego, że wydawnictwo analogiczne p. Weidla ugrzęzło na pierwszym zeszytce i że cena jego była nadmiernie wysoka, przyznać należy, że wydanie książeczki pod tytułem powyższym było rzeczą potrzebną. Treść składa się z ogólnej ustawy banku, prawideł działalności jego w Królestwie, przepisów o spółkach włościańskich, instrukcyj dla komisarzy włościańskich, wzorów deklaracyi i spisu urzędników.

Wiśła, miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Tom IV, zeszyt II (kwiecień, maj i czerwiec 1890 r.).

Zeszyt niniejszy zawiera trzy większe artykuły: Szkielet antropologii p. Lubora Niederlego, w przekładzie z czeskiego. Ziemię chełmińsko-michałowską p. Romualda Łazęgę i ciąg dalszy obszernej pracy p. Karłowicza: Systematyka pieśni ludu polskiego. W *Poszukiwaniach* znajdujemy przedruk kwestyjonyjuszka pp. A. Potockiego i Z. Wasilewskiego w sprawie czytelnictwa ludowego, drukowanego poprzednio w naszym piśmie.

Zadania inteligencyi żydowskiej. Szkic programu, skreślił N. Sokołow. (Odbitka z „Izraility”). Warszawa 1890.

Uprawa konicyny czerwonej. Napisał Jan Biedroń (10-centowa czytelnia rolnicza, książeczka trzecia). Cieszyn 1890. Cena 10 centów.

Encyklopedia humoru. Nakład M. Wołow-skiego. Zeszyt XXVII.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Życie społeczne.** W domu przytułku dla starców w Jerozolimie, utrzymywanym przez żydów, w ubiegłym półroczu znajdowało się 60 starców, z których 54 żydów ruskich. W zakładzie tym ze sprzedanych na własność 18 łóżek żydzi ruscy nabyli 11. — Departament medyczny zalecił właściwym instytucyjom zająć się zbadaniem szeregów warunków sanitarnych drwali i traczy w guberniach północno-zachodnich. — Projektowanym jest urządzenie szkół przy fabrykach i zakładach przemysłowych na wspólny koszt kilku zakładów sąsiednich, oraz zakładanie lazaretów z apteką przy fabrykach i zakładach przemysłowych, odległych od szpitali o wiorst osiem. — W liczbie 549 prób o przyjęcie do uniwersytetu kijowskiego 153 pochodzi od kandydatów żydów.

— **Kronika ekonomiczna.** Cukrowni w Królestwie jest obecnie 39, z czego przypada na gubernię warszawską 19, kaliską 5, lubelską i płocką po 3, łomżyńską, piotrkowską, kielecką i radomską po 2 i na siedlecką 1. — Utworzone zostało towarzystwo akcyjne w celu eksploataowania bogactw mineralnych gubernii włońskiej. — Kasy oszczędności pocztowo-telegraficzne nie będą otworzone w Warszawie. — Ministerjum wojny przystąpiło do budowy kolei z Kowla do stacyi Dąbrowicy kolej polskiej. — W 1860 r. gorzelni w Królestwie było 1,452, w 1865 r. — 1,302, w 1870 r. — 1,086, w 1875 r. — 701, w 1880 r. — 484, w 1885 r. — 404, a w r. b. 382. Najwięcej gorzelni liczy gubernia kaliska, gdyż 66, siedlecka 59, piotrkowska 50, lubelska 46, warszawska 45, w pozostałych guberniach liczba gorzelni nie przenosi 40 w każdej, a suwalskiej i łomżyńskiej zaledwie dosięga 26 — 28. — W r. z. w gubernii warszawskiej, po wyłączeniu Warszawy, było rzemieślników do 10,000, a produkcyja ich wynosiła 4,780,000 rs., najwięcej było szewców, gdyż 2,250, dalej kowali 1,340, krawców 1,120 i t. d.

— **Szkoly i oświata.** Profesor uniwersytetu petersburskiego Inostrancew zajmuje się obecnie badaniami geologicznymi okolic nadniemeńskich. — P. Roszkowska otrzymała pozwolenie na otwarcie w Warszawie szkoły bon i piastunek. — Towarzystwo ogrodnicze postanowiło starać się u władzy o wyjednanie 2 włók gruntu pod Warszawą dla praktycznego kształcenia w ogrodnictwie nauzczyli szkół ludowych.

— **Bozmałtości.** Jedon z lekarzy warszawskich, misnowicie dr. Kadler, poczał stosować głośną metodę Brown-Sequarda. — Wyszło rozporządzenie, polecające degradować na niższe stopnie tych naczelników stacyj pocztowych, którzy dopuszczają się nadużyż użytkowania i wypożyczenia dzienników, przesyłanych na stacyje dla ad-

resatów. — W nocy z d. 26 na 27 z. m. splonęła ozwarta część Białej radziwiłowskiej. — W r. z. w Londynie zmarło z głodu 27 osób.

— **Zmarli.** Jan Nowickij, etnograf i współpracownik Kijewlanina, zm. w Kijowie. — Franciszek d'Arcais, publicysta włoski, zm. w Rzymie. — Jakob Werber, redaktor tygodnika hebrajskiego *Haibri*, zm. w Brodach. — Filip Manz, jeden z założycieli i długoletni kierownik stowarzyszenia *Szomer Izrael*, zm. we Lwowie. — Bulmerincq, profesor prawa na uniwersytecie heidelberskim, zmarł w Heidelbergu. — Tomas Rodriguez Robi, dramaturg, zm. w Madrycie.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. J. Sol. w Kamieńcu. Ma pan słuszność, do rachunku wkradła się omyłka, którą sprostowaliśmy. Z przysłanych 8 rs., 2 rs. kop. 74 zapisaliśmy jako uzupełnienie przedpłaty za rok bieżący, 75 kop. na Bellamy'ego, 2,25 za tom I Socjologii, 60 kop. za 3 zeszyt tomu II, pozostałe 1,66 na wydawnictwa.

P. A. Z. w S. Za żyozliwą pamięć dziękujemy, prosimy uprzejmie o nadsyłanie nam danych z pańskiej okolicy, zwróć pan szczególnie uwagę na prąd emigracyjny, jego bezpośrednie przyczyny i t. d.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Specyjalny Magazyn Ubiorów Dziecinnych

S. PRZEŹDZIECKIEGO

ulica Hr. Kotzebue Nr. 2, róg Wierzbowej

Dom Hr. Krasieńskiego

Zaopatrzone został na obecny sezon w wielki wybór konfekcyi dziecinnej, jak również Mundury, Bluzy i Szynete dla uczni z towarów wyborowych, po cenach umiarkowanych.

Magazyn przyjmuje zamówienia na wykwinną garderobę Męzką oraz Okrycia i Żakiety damskie w fasonach angielskich.

JÓZEF ŚWIĄTKOWSKI

SZEWEC DAMSKI i MĘZKI

w Warszawie Bielańska Nr. 9

(Hotel Paryski)



poleca obówie na każdy sezon

PP. studentom i uczniom ustępuje się procent.

Adres: ulica Marszałkowska
Nr 123.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedyja
Encyklopedyja
Encyklopedyja

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tygodn.

W redakcyi „Głosu“ nabywać można:

SZKICE

Adama Szymańskiego

tom II

Cena 1 rs. 40 kop., z przesyłką 1 rs. 65 kop.

Nakładem Głosu

świeżo wyszło z druku dzieło

Herberta Spencera

pod tytułem

INSTYTUCYJE OBRZĘDOWE

tłumaczone z oryginału przez

J. K. Potockiego.

Cena rs. 1 kop. 30.

Dla prenumeratorów „Głosu“ rs. 1.

oraz I zeszyt

Instytucyj Politycznych

Herberta Spencera

w tłumaczeniu J. K. Potockiego

Cena z przesyłką 75 kop.

Pince-nes, Okulary, Perspektywy teatralne, wyłącznie z pierwszorzędných fabryk, w najnowszych fasonach, poleca najtaniej optyk

Juljan Dreher

Szpitalna Nr. 6.

Wszelkie reperacyje przyjmuje.
6—3

WINA KRYMSKIE I KAUKAZKIE

UZNANEJ DOBROCI

poczawszy od 30 kop. jako też analizowany jako prawdziwy wyrób wina i przez powagi lekarski zalecany,



Odbitki dwóch kwestyjonaryjuszy do zbierania wiadomości o oświacie ludowej pod tytułem

CO I JAK LUD NASZ CZYTA?

M. BRZEZIŃSKIEGO.

W SPRAWIE

CZYTELNICTWA LUDOWEGO

ANTONIEGO POTOCKIEGO

Zygmunta Wasilewskiego.

GABINET CZYTELNICZY

p. z. G. L. i K. LICHTAŃSKICH

Odmielna 44 m. 5 róg Marszałkowskiej.

Książki, miesięczniki, tygodniki i dzienniki do czytania na miejscu.

Przedpłata roczna rs. 2, półroczna rs. 1, miesięczna 20 kop. Za wejście jednorazowo opłata dowolna.

Autorowie, którzy racza nadsyłać swoje dzieła do Gabinetu Czytelniczego, zaproszeni zostaną na honorowych członków tej instytucji.

We wszystkich księgarniach i w redakcyi „Głosu“ jest do nabycia książka dla ludu p. t.

O SUCHOTACH CZYLI GRUŻLICY

jak się tej choroby wystrzegać

napisał

Sewer Ster, lekarz.

Cena 2½ kop. (pięć groszy).

Ostrzeżenie. Ogłoszony oryginalny „Exsiccator“ jest wtenczas prawdziwym, jak posiada przez Rzady wielu Państw Europejskich zatwierdzoną markę fabryczną.



Medal Warszawa 1885. Medal Warszawa 1886. Herb Państwa Austriackiego. Medal Kraków 1887. Dyplom Honorowy Symferopol 1888 i 1000-cc świadectw za skuteczność otrzymano. Ważny dodatek do broszurki II wydanie z ilustracyjami bezpłatnie (franco). Uwaga. Wynalazku mego nie należy porównywać z reklamowanymi w ostatnich czasach goudronitami i Carbolineum gdyż takowe niszczą więcej drzewo i mury niżeli konserwują, o czem dowody w broszurkach umieszczono.